

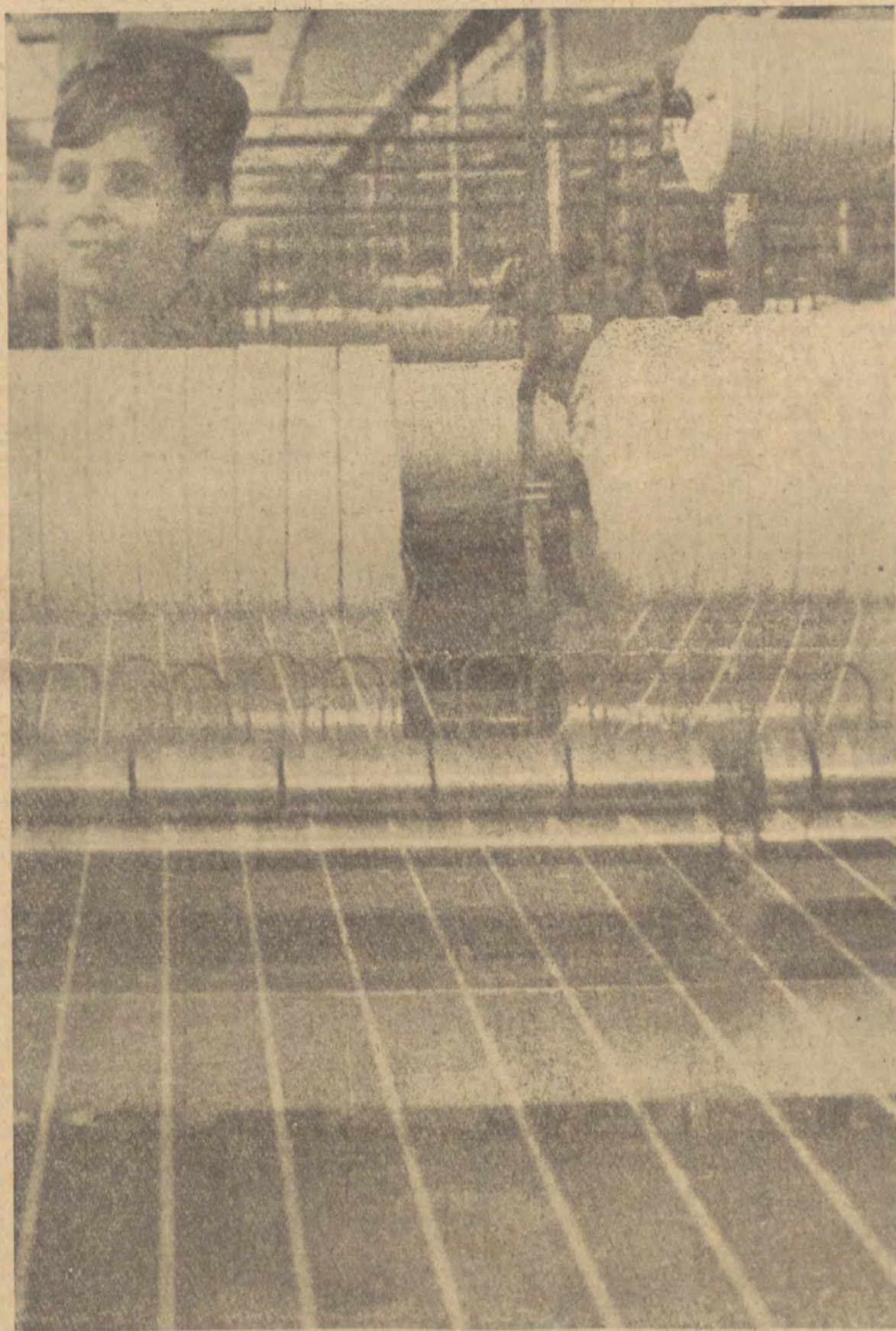
numerze: KAROL BADZIAK **Zjazd społeczników Ziemi Łódzkiej** • KONRAD TUROWSKI **Na pętli świat się kończy** • ANDRZEJ HAMPEL **Teatr walczący** • Nowy konkurs • Zewsząd o wszystkim • Recenzje • Felietony • Nowela kryminalna

odgłosy



48 (732)
28. XI. 1971 r.
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



Fot. W. Parys

Momentem sumującym dotychczasową łódzką dyskusję nad Wytocznymi i Programem rozwoju miasta była XVI Przedzjazdowa Konferencja Partyjna.

Po referacie I sekretarza KL PZPR Bolesława Koperskiego, wygłoszonym w pierwszej części obrad plenarnych, w których uczestniczyli: członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR Jan Szydłak, wicepremier Eugeniusz Szyr, minister przemysłu lekkiego Tadeusz Kunicki, wiceminister spraw zagranicznych Stanisław Trepczyński, sekretarz CRZZ Wiesław Adamski, wiceprezes ZG ZMS Andrzej Majkowski, dyskusje przeniosły się na forum czterech zespołów.

KRZYSZTOF POGORZELEC

A teraz – cała naprzód!

PO PRZEDZJAZDOWEJ KONFERENCJI
ŁÓDZKIEJ ORGANIZACJI PARTYJNEJ

Są to impresje. I to nie tylko z tej racji, że łódzka organizacja partyjna na swojej konferencji przed VI Zjazdem PZPR sięgnęła po dotychczas nie stosowaną w Łodzi formę prowadzenia obrad w komisjach – było ich cztery: pracy wewnątrzpartyjnej; młodzieży, zagadnień kultury, oświaty i nauki; budownictwa i gospodarki miejskiej; przemysłu i zagadnień socjalnych – i nie sposób było być równocześnie wszędzie, ale przede wszystkim te uwagi chcę traktować jako impresje dlatego, że obszar tematów, podniesionych przez uczestników tego partyjnego forum był niezwykle szeroki. Same za siebie mówią zresztą „hasła wywoławcze”, wokół których prowadzono dyskusje w poszczególnych zespołach. I tutaj pierwsza, ale chyba dobrze oddająca charakter, temperaturę debaty na łódzkiej konferencji przedzjazdowej uwaga: w dyskusji prowadzonej w zespołach zabierało głos – średnio licząc – po 15–17 osób. Oznacza to nie tylko zwielokrotnienie możliwości wypowiedzenia się, przedstawienia na partyjnym forum istotnych problemów nurtujących różne środowiska, ale przede wszystkim udział w tej często kontrowersyjnej, ale zawsze nacechowanej troską o dobro sprawy dyskusji ludzi, którzy nigdy do tej pory nie zabierali głosu. Tow. J. Szydłak podsumowu-

jąc debatę na łódzkiej konferencji przedzjazdowej stwierdził m. in.: „Ta wielka ogólnonarodowa debata przeprowadzona była, jak nigdy do tej pory, głęboko, dotarła do wszystkich środowisk, do stanowisk pracy, tam, gdzie toczy się życie gospodarcze, polityczne i społeczne. Stało się tak dlatego, że była to dyskusja demokratyczna, a partia przychodzi na swój VI Zjazd wzbogacona o tę konstruktywną debatę, wzbogacona o dorobek wynikający z tej dyskusji”. Ta wszechstronność dyskusji obok pojawienia się ludzi, którzy do tej pory nigdy nie zabierali głosu była charakterystycznym rysem zarówno samej konferencji, jak i całej przedzjazdowej debaty toczzonej w naszym mieście. Tak – pojawił się nowy aktyw złożony z ludzi zaangażowanych i mających wiele do powiedzenia, co też jest znaczącym czynnikiem w dorobku łódzkiej organizacji partyjnej przed VI Zjazdem PZPR.

Tyle o wrażeniach ogólnych.

**NIE MA MIEJSCA
DLA „KIBICÓW”**

Niewątpliwie elementem decydującym o nowym stylu, rezultatach partyjnego działania, będzie

Dalszy ciąg na str. 3

BOGDA MADEJ

BEZ TELEWIZYJNEJ KAMERY

Spożniłam się o cały dzień. sala konferencyjna była pusta, krzesła odstawione pod ścianę, został tylko udekorowany stół prezydencki i wielki napis: „Trybuna FOS”. No i wrażenia, którymi dzielił się ci, którzy byli na sali i ci, którzy pracując na drugiej zmianie, słuchali dyskusji transmitowanej przez zakładowy radiowęzeł.

— Szkoda, że nie wiedziałam o spotkaniu wcześniej. Przyszłabym.

— Proszę się nie gniewać – odpowiedział sekretarz KZ PZPR, Henryk Czekan – ale może to i lepiej, bo niechętnie widzielibyśmy gości z zewnątrz.

— Dlaczego?

— Zebrało się u nas kilka spraw nieprzyjemnych. A o tym lepiej rozmawiać we własnym gronie. Tak jak w rodzinie.

1.

Pomysł wziął z telewizji. Na dwa tygodnie przed ustalonym terminem spotkania, w trzech punktach fabryki zawieszono skrzynki, do których robotnicy mogli wrzucać kartki z pytaniami. W Fabryce Osprzętu Samochodowego „Polmo” w Łodzi pracuje około 2.300 osób. Można by się więc zastanawiać, czy 34 pytania, jakie wyjęto ze skrzynki, to dużo czy mało? Godny zastanowienia jest też fakt, że tylko jedno pytanie było podpisane.

Jego autor prosił o przedstawienie planów rozbudowy zakładowego ośrodka campingowego.

Z 34 zgłoszonych pytań ułożono 21 tematów do rozmowy z zarządem. Dotyczyły one m. in. rytmiki produkcji, warunków bezpieczeństwa i higieny pracy, organizacji wypoczynku po pracy, szkolenia partyjnego oraz stosunków, które niezbyt ładnie nazywa się międzyludzkimi. Na pytania odpowiadało kierownictwo zakładu, w poszczególnych wydziałach dyżurowali przy telefonach kierownicy, aby móc w każdej chwili służyć niezbędnymi wyjaśnieniami. Spotkanie trwało cztery

Dalszy ciąg na str. 4



● Zewsząd o wszystkim ●

● Zewsząd o wszystkim ●

ROZWÓJ WEWNĘTRZNEJ SYTUACJI W NIEMIECKIEJ REPUBLICE FEDERALNEJ zasługuje na uwagę. Przed największą batalią polityczną roku przyszłego — ratyfikacją układów z ZSRR i Polską, ale także z myślą o kampanii wyborczej dokonują się interesujące procesy. Ujawniły się one w ostatnich dniach na nadzwyczajnym zjeździe SDP oraz w zdaniach Straussa pod adresem nowego przewodniczącego CDU — Barzela.

Inaugurujące obrady zjazdu wystąpienie kanclerza Brandta określiło jest przez prasę zachodniemiecką jako „ozdrowienie”. „Przekonywając — pisze „Neue Rhein Zeitung” — dawał on do zrozumienia, że ekipa rządowa socjaldemokratów nie jest organem wykonawczym partii... Punkt po punkcie przedstawiał kanclerz realia pracy rządu. Przedstawił to, co dzisiaj, jutro, pojutrze możliwe jest do realizacji”. Inaczej mówiąc — kanclerz przeciwstawił długofalowym życzeniom w dziedzinie gospodarczej obecne możliwości, akcentując przede wszystkim potrzebę zmian warunków społecznych. Na tle poszczególnych aspektów polityki gospodarczej partia jest wewnętrznie rozbita i Brandt najwyraźniej postawił sobie cel zmniejszenia tych podziałów.

Znacznie pomyślniejsza sytuacja jest w dziedzinie polityki zagranicznej. Tutaj w partii panuje jedność. Mógł więc kanclerz w swym zjazdowym przemówieniu wystąpić z ofertą pod adresem opozycji, aby w czasie głosowania nad układami pozostawała solidarna z koalicją rządową. Moment wystąpienia z apelem wybrany został dobrze — program partii opozycji w tej dziedzinie zalamuje się, znajduje coraz mniejsze echo w społeczeństwie zachodniemieckim.

Komentując przemówienie Brandta, które, jak podkreśla „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, nacechowane było pewnością siebie, trzeba zauważyć, że miało ono na względzie także cele wyborcze. Pisze o tym „Die Welt” w następujących słowach: „Brandt sam dokonał ustalenia pozycji swej partii, z którego jasno wynika, gdzie SPD w 1973 roku szukać będzie nowych wyborców — na obszarze granicznym między socjaldemokracją i partiami unii”.

Tymczasem między tymi ostatnimi trwa przetarg. Szef bawarskiej CSU — Strauss zaczął ostatnio głośno zastanawiać się nad tym, kto powinien być kandydatem partii chadeckich na fotel kanclerski. Choćby wynik zjazdu CDU w Saarbrücken wskazuje jednoznacznie na Barzela (pisaliśmy na tym miejscu o łatwym jego zwycięstwie) padły i inne nazwiska: Stoltenberga i Schroedera. Dlaczego? Czyżby dlatego, że Strauss nie chce oddać głosów swej partii na przewodniczącego CDU? Powód jest inny — chce on nakłonić przywódcę opozycji w Bundestagu do całkowitego nagięcia się wobec narodowo-konserwatywnych maksimów bawarskiej partii. Najpierw uzgodnimy wspólne wytyczne do kampanii wyborczej, — powiada — a dopiero potem zastanowimy się nad wspólną kandydaturą. Żądania Straussa dotyczą i programu gospodarczego, i polityki wschodniej. Domaga się on bezkompromisowego odrzucenia układów ze Wschodem, dyscypliny partyjnej członków Bundesratu tak, aby jednomyślnie opowiedzieli się oni przeciwko ratyfikacji. Te twarde żądania Straussa podyktowane są jego obawą, że Barzel prowadzi podwójną grę: werbalnie atakuje politykę wschodnią rządu, ale praktycznie nie chce zagrozić drogi układom ze Związkiem Radzieckim i Polską.

Sytuacja zapowiada się ciekawie, ponieważ ze względów taktyki wyborczej Barzel — jak się wydaje — nie może ryzykować mocnego zwrotu w prawo, czego właściwie domaga się Strauss.

Po tych rozważaniach na temat sytuacji wewnętrznej NRF — odnotujmy niektóre najważniejsze wydarzenia.

W WIEDNIU toczy się kolejna runda radziecko-amerykańskich rokowań SALT. Jest to już runda szósta, w toku dotychczasowych odbyło się 94 posiedzenia robocze. Rozmowy te z dwóch powodów: długości ich trwania i tajemności nie wzbudzają szerokiego zainteresowania opinii publicznej. Tymczasem runda wiedeńska może być decydującą w poszukiwaniu odpowiedzi, czy możliwe jest zahamowanie rozwoju broni strategicznej. Przypomnijmy, że właśnie w tej dziedzinie oczekuje się wyraźnego postępu przed majowymi rozmowami Nixona w Moskwie.

W NOWYM JORKU, na sesji ONZ debutowała delegacja Chińskiej Republiki Ludowej. W pierwszym z wystąpień przedstawiciel Chin Ludowych oświadczył, iż jego kraj nie czuje się związany wszystkimi podjętymi dotychczas decyzjami, gdyż nie mógł ustosunkowywać się do nich. Generalna platforma, na której opierać się będzie działalność delegacji w ONZ, sprowadza się — w myśl słów wiceministra spraw zagranicznych — do opowiadania się zawsze po stronie krajów tzw. trzeciego świata.

WE WŁOSZECH toczy się kampania przed wyborami prezydenckimi 6 grudnia zgrupowanie elektoralne (deputowani do parlamentu, senatorowie, przedstawiciele władz regionalnych) dokona wyboru prezydenta na okres siedmiu lat. Najpoważniejszymi kandydatami są: Amintore Fanfani — kilkakrotny premier i minister spraw zagranicznych, obecny przewodniczący senatu, Giuseppe Saragat — obecny prezydent, którego szanse zmniejsza podeszły wiek (74 lata) oraz: Aldo Moro — obecny minister spraw zagranicznych i Mariano Rumor — były premier. Według przewidywań kandydatem partii komunistycznej będzie senator Umberto Terracini.

W. SŁAWSKI

Ersatz-Literatura „Pabel-Verlag”

„KONKRET” — HAMBURG

Jesienią 1957 roku, zaledwie cztery miesiące po rozlokowaniu w koszarach rekrutów dopiero co utworzonego Bundeswehry, wydawnictwo „Pabel-Verlag” wydało pierwszą książeczkę z serii „Landsehr” (słowo zaczerpnięte z żargonu żołnierskiego, którym nazywano frontowych żołnierzy hitlerowskiego wehrmachtu w czasie II wojny światowej — red.).

We wstępie wydawnictwo anonsuje: „Jedynym celem naszej serii jest rehabilitacja żołnierza frontowego, którego niestuszenie dyskredytowano, ukazanie jego oblicza we właściwym świetle, młodym żołnierzom Bundeswehry i całemu społeczeństwu”. Wydawca, Pabel, zamieścił nawet z tej okazji kilka słów od siebie: „W gruncie rzeczy seria ta powstała wyłącznie z powodu utworzenia Bundeswehry”.

Już pierwsze edycje serii „Landsehr” wywołały protesty społeczeństwa. W audycji telewizyjnej, 29 lipca 1960 roku, pewien hamburski dziennikarz nazwał tę produkcję „szmatławą, nacjonalistyczną szmيرًا” i powiedział, że Pabel uprawia byznes na opiewaniu zbrodni. Pabel „obrazil się”: to nie jest wcale krytyka literacka, a „knowanie komunistów” i „podrywanie obronności NRF”. Wydawnictwo oddało sprawę do sądu. Ale sąd stanął na stanowisku, iż skarga jest sprzeczna z konstytucją, jako że nikomu nie można zabronić krytyki wydawnictwa. Jednakże samej serii „Landsehr” ten niewypał Pabela wcale nie zaszkodził: książeczki wychodziły nadal.

Początkowo broszury ukazywały się dwa razy w miesiącu, później — co tydzień. Ogółem ukazało się 687 tytułów serii „Landsehr”, a ogólny ich nakład wynosi około 50 milionów egzemplarzy.

Kulisy prowokacji

„SEVEN DAYS” — LONDYN

Dziś wiadomo już z całą pewnością, że sensacyjne „znalezienie” 116 skrzynek „z bronią czechosłowacką”, rzekomo skonfiskowanych 16 października br. w samolocie na lotnisku w Amsterdamie jest mistyfikacją, zorganizowaną przez brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych i wydział specjalny Scotland Yardu. Chodziło tu o wywołanie panicznego lęku przed Irlandzką Armią Republikańską (IRA) oraz o zdobycie jakichkolwiek „dowodów” dla wydumanej w Anglii szpiegomanii.

Zgodnie z oficjalną wersją, podchwyconą natychmiast przez angielską prasę, broń ta była rzekomo przeznaczona dla IRA. Jednak-

Co reklamuje ta militarna ersatz-literatura? Cała „filozofia” serii „Landsehr” sprowadza się do jednego: prawdziwa męskość „niemieckiego młodzieńca” sprawdza się tylko na wojnie, w krwawych bojach. W szeregach hitlerowskiej armii wypełniał on swój patriotyczny obowiązek. Atmosfera gwałtu i okrucieństwa przekształca „landsehra” — na stronicach serii — w fanatyka landsehnichta.

Wydawnictwo pitrasi w swojej kuchni „sentimentalne opowiadki o prawdziwych przeżyciach”. Ale o przestępstwach hitlerowców w czasie wojny, o ich bezmyślności i masowych zbrodniach — nie ma w nich ani słowa. Wojna jest przedstawiona jako porywająca, choć niekiedy i wyczerpująca, „zabawa w Indian”.

Jednym z najbardziej produktywnych „pisarzy”, wybijających się w tej serii, jest były członek formacji SS, Martin Grabatsch. Na półce jego biblioteki stoi „Mein Kampf” Hitlera, a nad biurkiem wiszą ogromny portret „Reichsfuehrera SS” — Himmlera. Grabatsch jest odznaczony krzyżem rycerskim i innymi orderami hitlerowskimi. Służył w oddziale SD i, jak sam mówi, „specjalizował się w zabójstwach”.

Już od roku wydawnictwo Pabela publikuje we wstępie każdego kolejnego numeru „Landsehra” cytaty z listów swych czytelników. W większości są to listy dzieci i młodzieży w wieku od 12 do 20 lat. Oto, co pisze, na przykład, W. Böhm z Niefem: „Mam tylko 14 lat, ale wydaje mi się, że teraz wiem, co to jest wojna. I za to mogę powiedzieć redakcji „Landsehra” tylko jedno: „Dziękuję”.

A przecież, jak wiadomo, właśnie w tym wieku kształtują się charaktery ludzkie.

że inicjatywa w tej aferze szła z Londynu. Nawet policja holenderska dała do zrozumienia, że idea tej sprawy wyszła z wydziału specjalnego Scotland Yardu w Londynie. W poniedziałek 18 października, naczelnik policji holenderskiej, Eric Herritsen, powiedział, iż pracownik wydziału specjalnego Scotland Yardu — Winslow, nie przekonał go, że broń ta miała jakikolwiek związek z Irlandczykami. W końcu tygodnia policja holenderska wysunęła co najmniej sześć różnych wersji na usprawiedliwienie tej całej hecy.

Nie przedstawiono żadnych dowodów na potwierdzenie, że sprawa ma jakikolwiek związek z Irlandzką Armią Republikańską. Uczyniono niemało drobnych prób, aby tę „dostawę broni” związać z pobytem w Amsterdamie Davida O’Connolly, znanego osobistości w IRA.

Zastanawiający jest fakt, iż dwóch korespondentów „Daily Telegraph” znajdowało się w porcie lotniczym Shiphon akurat w tym samym momencie, kiedy rzekomo wylądował ów samolot, transportujący broń.

Albo sprawa „tajemniczego hiszpańskiego samolotu”, który rzekomo miał już lądować na lotnisku w Shiphon, ale nie wylądował w ostatniej chwili gdyż jego dysponenci dowiedzieli się o konfiskacie broni. W jaki sposób załoga tego samolotu mogła się dowiedzieć o konfiskacie broni, skoro informacje o tym pojawiły się — wprawdzie tego samego dnia — ale znacznie później?

Mit „rewelacji” Gehlena

„FRANKFURTER RUNDSCHAU” — FRANKFURT

W Hesji wystąpił niedawno w radio współpracownik hamburskiego tygodnika „Spiegel”, autor szeregu artykułów o zachodniemieckiej służbie wywiadowczej „Bundesnachrichtendienst” (BND), Hermann Zolling. Zaprzeczył on kategorycznie twierdzeniom byłego szefa BND — gen. Gehlena, jakoby federalna służba wywiadowcza nie zajmowała się „zbieraniem informacji wewnątrz kraju”, i nie inwigilowała działaczy politycznych NRF. Te oświadczenia Gehlena ukazywały się na łamach hamburskiej gazety „Welt”, która opublikowała kolejną porcję memuarów „patriarchy” zachodniemieckiego szpiegostwa. Zaprzeczając tym twierdzeniom, Zolling powiedział, że BND miała pod obserwacją nie tylko było przewodniczącego socjaldemokratycznej partii (SDPD) Ollenhauera i obecnego przywódcę frakcji parlamentarnej tej partii — Wehnera, lecz i szereg innych działaczy socjaldemokratycznych.

Zolling oświadczył, iż dysponuje dostateczną ilością

Jedyną sensowną przyczyną, z powodu której ów tajemniczy samolot odleciał jest to, iż najwidoczniej ktoś nie życzył sobie jego obecności na lotnisku. Możliwe też, że taki samolot w ogóle nie istniał.

W wersji przedstawionej przez policję holenderską są też i inne, niejasne miejsca: Holendrzy nie tylko nie aresztowali członków załogi samolotu, na którym rzekomo wykryto skrynię z „bronią czechosłowacką”, ale nawet nie zatrzymali samolotu; tego samego dnia wyleciał on do Lourdes z grupą pielgrzymów. A przecież w takich okolicznościach zatrzymanie samolotu byłoby elementarnym krokiem władz. Albo: jak prowadzi się śledztwo w tej sprawie? Otóż początkowo poinformowano, że oskarżenia przeciwko Königowi i pilotowi samolotu — Van Homwegeni — zostaną sprzecyzowane w poniedziałek. Później zaś policja podała do wiadomości, że śledztwo wymaga dłuższego czasu, niż przypuszczano uprzednio. I nic dziwnego. Do końca tygodnia aresztowanych nie postawiono w stan oskarżenia. Wyglądało na to, iż całą tę sprawę postarano się delikatnie mówiąc, puścić w niepamięć.

Wszystkie te bzdury tracą całą swą tajemniczość, jeśli przyjąć inną wersję: historia z „ładunkiem broni” została sfingowana przez brytyjski wywiad. Londynowi potrzebny był „czerwony spisek”, więc postanowiono wymyślić historię o „powiązaniach z zewnątrz” z Irlandzką Armią Republikańską.

Zolling dał do zrozumienia Gehlenowi, że wie więcej, niż napisał w serii swych artykułów „Pullach od wewnątrz”, opublikowanych na łamach „Spiegla”. Powiedział też, że może uchylić rąbek tajemnicy jeszcze jednej sprawy: „wspomniany w artykule działacz polityczny, któremu w charakterze sekretarki przydzielono pracowniczkę BND, zajmował stanowisko... prezydenta bawarskiego landtagu”.

Zolling obala zawarte w pamiętnikach Gehlena twierdzenie, że w służbie BND było zaledwie „kilku” byłych SS-manów. Zolling oświadczył: „Okolo 25 do 30 proc. pracowników tej służby należało kiedyś do SS, Gestapo lub SD. Przyjmowano ich do pracy prawie bez sprawdzania ich akt personalnych”.



LEGENDA LAT CZTERDZIESTYCH

Maria Starzyńska *) debutowała w 1963 r. powieścią „Osiemnasta”. Potem

ukazują się jej kolejne książki: w 1966 r. „Trzęsienie ziemi” i w dwa lata później „Konkurs na najlepszego”. W ubiegłym roku nakładem Instytutu Wydawniczego PAX wyszła „Legenda lat czterdziestych”, która przyniosła autorce rozgłos. Obecne wydanie jest drugim z kolei.

Krytyka, która przecież nie rozpieszcza twórców, do książki Marii Starzyńskiej odnosiła się z wielką życzliwością. Porównywano ją do „Stawki większej niż życie”, jeśli chodzi o

sensacyjność zawartych zdarzeń. Jednocześnie, podkreślano sprawność warsztatu literackiego. Chwalono za ambicję, za wrażliwość na sprawy przeszłości.

„Legenda lat czterdziestych” jest powieścią o latach okupacji, jest powrotem w odległe, historyczne już czasy, jest także próbą znalezienia w tej przeszłości czegoś więcej niż samej tylko walki, męczeństwa, patosu i legendy. Polski ruch oporu, bezprzykładna ofiarności narodu zrodziły bohaterów. To nas wyróż-

nia spośród innych. To jest nasza cecha charakteru. I jeśli Starzyńska udaje odnalezienie w tej naszej historii motywy nadrzędne, świadczy to na korzyść jej ambitnych zamierzeń. A czy wszystko udało się, czy zamierzenia te przyniosły odpowiedź na wątpliwości i pytania, których nie brak i dzisiaj, można się przekonać po przeczytaniu książki.

E. I.

*) Maria Starzyńska: LEGENDA LAT CZTERDZIESTYCH. Instytut Wyd. PAX. 1971 r. Stron 360. Cena 35 zł.

A teraz – cała naprzód!

Dalszy ciąg ze str. 1

uwzględnienie tych postulatów, jakie zgłosiły w toku dyskusji przedjazdowej organizacje partyjne. Stąd też w zespole, który omawiał problemy pracy wewnątrzpartyjnej tak wiele mówiono o cechach, które charakteryzują naszą działalność w tej dziedzinie dziś i na tym tle kreślono potrzeby zmian, potrzeby wprowadzania nowych elementów, konstruktywnego działania. Opinie

konkluzja. Liczne wyrażone opinie: „Organizacja partyjna działająca w określonym środowisku musi odpowiadać za kształtowanie się stosunków w danym zakładzie czy przedsiębiorstwie, za właściwe kontakty z dyrekcją i kierownictwem, ale równocześnie musi istnieć wyraźne rozgraniczenie kompetencji samej organizacji oraz ogniw administracyjnych”.

Jest to niewątpliwie trudna sprawa. Ale warto się nad nią zastanowić i chyba wiele z pro-

cesie, gdy słaba organizacja pracy i zarządzania obniża ostateczne rezultaty. W pewnym momencie dyskusji padła taka uwaga: „Patrzmy nie tylko na uliczny bruk, ale trochę wyżej, być może wtedy szybciej będzie nam rosła nowa Łódź, wysokościowcami i nowoczesnymi arteriami, miasto, o jakim marzy i wyobraża je sobie każdy mieszkaniec Łodzi”.

Z LUDŹMI I DLA LUDZI

Niewątpliwie jednak o losie tego miasta będzie decydowała jego nowoczesna struktura gospodarcza. A więc – pytania: jaki przemysł powinien być lokowany w tym mieście, co powinno dominować w poczynaniach inwestycyjnych i planistycznych? Starano się na te pytania udzielić odpowiedzi w toku dyskusji w zespole przemysłu i zagadnień społecznych. Sierali się przy tym rozmaite poglądy, w których tu i ówdzie przewijała się nuta czy też tendencje do prostego odbudowania zużytych już obecnie zakładów, przede wszystkim fabryk przemysłu włókienniczego. Ale przecież – za tym wypowiadała się większość – nie o to w gruncie rzeczy chodzi. Trzeba Łódź wyposażyć w nośniki prawdziwego postępu gospodarczego, technicznego i społecznego.

A więc, jeżeli przemysł włókienniczy to ten, który ma przyszłość wyrażającą się w konkretnym zapotrzebowaniu na produkowane w tych fabrykach wyroby. Tak więc, na pewno dzieniarstwo i chyba Łódź jest tym ośrodkiem, gdzie złotówki lokowane w maszyny dzieniarzkie przynosiłyby jeszcze większe efekty.

Ale nie tylko chodzi o złotówki. Znowu pojawił się w dyskusji czynnik nowoczesnej organizacji, potrzeby odejścia od schematów, które dziś utrudniają drogę postępu nie tylko technicznemu, czy ekonomicznemu, ale również stanowi tamę dla wielu słusznych poczynaniach o charakterze społecznym. Bo chociaż w zespole przemysłu, mówiło się przede wszystkim o rozwoju łódzkich fabryk, to jednak wspólnym mianownikiem w dyskusji był człowiek, jego sprawy i potrzeby. Starano się odpowiedzieć na podstawowe pytanie, jak przy osiągnięciu lepszych rezultatów pracy równocześnie sprawić, by i praca i płaca były lepsze a życie fabrycznych załóg było wygodniejsze. W tym krył się humanistyczny cel prowadzonej debaty: troska o człowieka, gdyż przecież wszystko to co robimy i zamierzamy czynić również poprzez program modernizacji miasta, czynimy z ludźmi i dla ludzi.

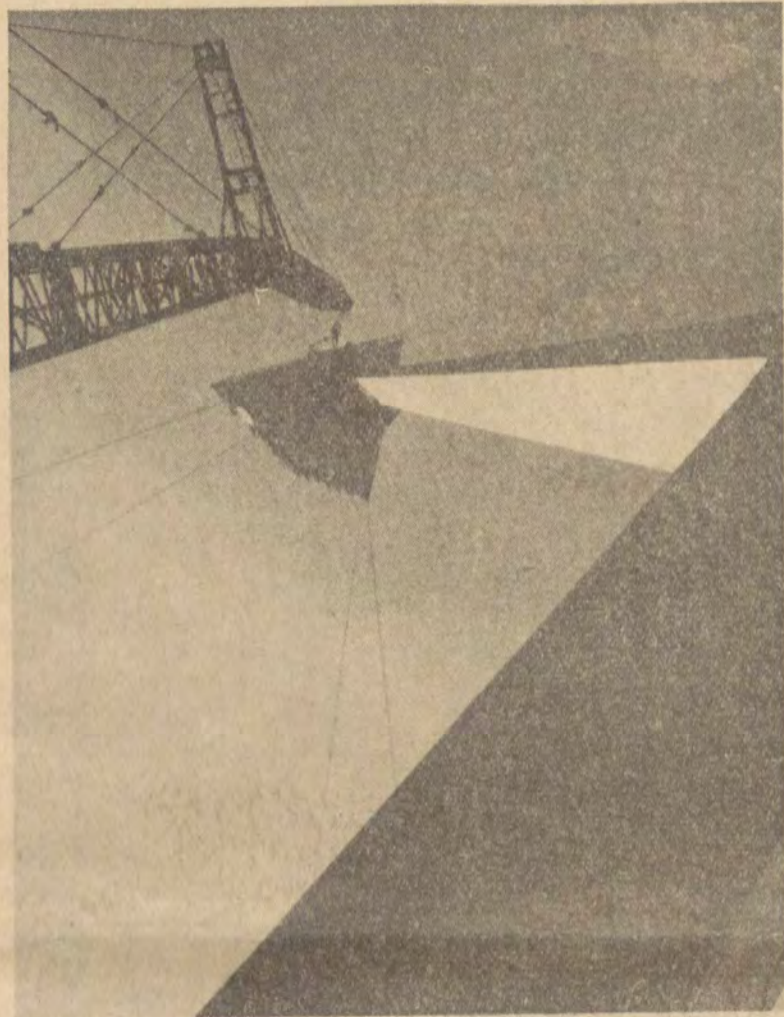
Chcemy odnotować jeszcze dwa fragmenty obszernych wypowiedzi, jakie miały miejsce podczas przedjazdowej konferencji łódzkiej organizacji partyjnej.

Członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR – tow. Jan Szydłak stwierdził, że: „Dziś nie ma już nikogo, kto by nie doceniał roli przemysłu lekkiego dla gospodarczej sytuacji kraju”.

Te słowa znaczą bardzo wiele dla robotniczych załóg Łodzi.

A sekretarz KL PZPR, tow. Bolesław Koperski w swoim referacie powiedział: „Łódzka organizacja partyjna troszczy się i będzie nadal szczególnie troszczyć o to, aby realizacja programu rozwoju Łodzi odbywała się w warunkach pełnej mobilizacji społeczeństwa, aby nie została zaprzeczona żadna z inicjatyw, które pomogą ten program zrealizować sprawnie. Zadania stojące przed organizacją partyjną i przed całym społeczeństwem wymagają, aby jak najlepiej wykorzystali twórcze, kierowane w przyszłość dążenia wielu środowisk i grup społecznych. Jesteśmy w pełni świadomi tego, iż nasza przyszłość jest w naszych rękach”.

KRZYSZTOF POGORZELEC



i wyrażone głosy upoważniają nas do stwierdzenia, iż nowe w parti, to dopiero właściwe początek drogi, na którą wkroczyliśmy po ożywczych uchwałach VII i VIII Plenum KC PZPR.

Warto tu odnotować kilka przynajmniej opinii wyrażonych w toku obrad zespołu zajmującego się problemami pracy wewnątrzpartyjnej.

A więc przede wszystkim problem zaangażowania i aktywności partyjnego. Zdecydowanie podkreślano, iż w parti nie ma miejsca dla biernych obserwatorów, dla „kibiców”, wreszcie dla ludzi, którzy zapominają o podstawowej zasadzie – zgodności słów z czynami. Niemniej istotny problem to zagadnienie odpowiedzialności i obowiązku konstruktywnego działania, samodzielności myślenia, a nie tylko wykonywania zaleceń. Takie bowiem „wyreczanie się góra” oznacza nie innego, jak tylko bierność. Równocześnie chodzi o to, by członek partii był nim wszędzie, dawał przykład swoim zaangażowaniem i postawą nie tylko w swoim miejscu pracy, czy też w kontaktach z instancją partyjną, ale także poza fabryką czy przedsiębiorstwem, w domu, w swoim środowisku, w kontaktach z bezpartyjnymi. Stwierdzono: „Ludzie bacznie obserwują postępowanie członków partii i oceniają ich postawy, wyrabiają sobie na tym tle opinie o pracy partii w ogóle”.

Są to zadania bardzo poważne i może nawet dla niektórych członków partii zbyt trudne. Dlatego też z jednej strony szeregi partyjne należy wzbogacać o ludzi aktywnych wnoszących do działania inicjatywę, należy poszerzać grono aktywnych partyjnych właśnie o takich, dziś często jeszcze bezimiennych działaczy. A z drugiej strony partia musi się oczyszczać od asekurantów, od ludzi, którzy swoją przynależność do partii chcieliby wykorzystywać dla swoich prywatnych interesów, oczyszczać od przypadkowych „kibiców”, którzy utrudniają nam tylko marsz naprzód.

Wiele miejsca w tej dyskusji o problemach pracy partyjnej poświęcono metodom działania organizacji partyjnych. I znowu

pozywie zgłoszonych w toku dyskusji na łódzkiej konferencji przedjazdowej będzie rozpatrywanych na VI Zjeździe PZPR.

PATRZYM W GÓRĘ

Łódź ma swój program rekonstrukcji i modernizacji miasta, a jak stwierdził to członek Biura Politycznego KC PZPR – tow. Jan Szydłak: „Dyskusja prowadzona przez łódzkie społeczeństwo, organizacje partyjne naszego miasta nad planem modernizacji Łodzi, jej przemysłu stawiała sobie za cel osiągnięcie takich społeczno-gospodarczych wyników, które by sprawiły, że Łódź swoimi warunkami społecznymi, komunalnymi i potencjałem przemysłowym, stałaby się godną miana stolicy polskiego przemysłu”.

Oczywiście, nie jest to łatwa sprawa. Chodzi nie tylko o to, by mieć odpowiednie środki finansowe, ale by je odpowiednio zużytkować. Czasu przy tym mamy niezbyt wiele, toteż pora przejść od dyskusji do konkretnych poczynaniach zmieniających owe miliony przeznaczonych na rekonstrukcję miasta w materialną rzeczywistość. Stąd też określone obowiązki spadające na administrację terenową, a dyskusja prowadzona w zespole budownictwa bardzo krytycznie odnosiła się do aktualnej sytuacji w takich np. dziedzinach, jak projektowanie nowych dzielnic, szczególnie śródmiejskiej dzielnicy mieszkaniowej, wskazywano na brak jasności kto np. kompleksowo zajmuje się planowaniem przestrzennym w mieście, jak wykorzystywany jest istniejący potencjał projektowy w naszych łódzkich biurach, bo podobno, jak fama niesie, wykorzystują one swoje możliwości tylko w nieznacznym procencie dla potrzeb Łodzi, natomiast bardzo mocno są zaangażowane w realizację rozmaitych projektów dla innych ośrodków miejskich. To już chyba paradoks. Wiele krytycznych słów padło też pod adresem tych ogniw administracji, które odpowiadają za organizację pracy, bowiem posiadanie nowych technologii czy rozwiązań technicznych nie przesądza jeszcze o suk-

ANDRZEJ HAMPEL

Ważna dyskusja

Obradom zespołu do spraw młodzieży, kultury, nauki i oświaty, przewodniczył sekretarz KL PZPR, Jerzy Chabełski, a uczestniczyli, w nich także: sekretarz CRZZ, Wiesław Adamski i kierownik Wydziału Propagandy KL PZPR, Zbigniew Faliński.

Nader istotne sformułowania Jerzego Chabełskiego, na temat ścisłego związku kultury, sztuki i nauki z procesami społeczno-ekonomicznymi i wpływu kultury na gospodarkę narodową, stały się punktem wyjścia dla wielu dyskusji.

Padły głosy krytyczne pod adresem przestarzałych form organizacyjnych w stowarzyszeniach twórczych, apelowano o przestrzeganie zasady, iż zasadniczym kryterium oceny twórcy powinna być jakość i idea jego dzieła. Krytycznie ustosunkowując się do modelu stowarzyszenia twórczego, kierowanego przez jednostki, proponowano kolektywne działania, w których aktywność spełniałby rolę dominującą, inspirującą i kontrolną.

Zgłoszono propozycję zorganizowania narady partyjnej przedstawicieli środowisk twórczych, by wspólnie, bez partykularyzmów i wytykania sobie błędów, radzić nad dniem dzisiejszym i jutrem kultury w Łodzi. Padł także interesujący wniosek organizacyjny, aby powołać instancję partyjną (komitet środowiskowy przy Komitecie Łódzkim), organizującą i oceniającą pracę podstawowych organizacji partyjnych w poszczególnych związkach twórczych.

Mówiono o potrzebie stworzenia w Łodzi teatru prawdziwie nowoczesnego, którego warunki techniczne pozwoliłyby wystawić widowiska w formie niekonwencjonalnej, jak również o konieczności rozwiązania problemów środowiska plastycznego, a szczególnie dużej grupy artystów-projektantów zatrudnionych w przemyśle lekkim. W wielu wystąpieniach dominowała autentyczna troska o twórczą atmosferę, ożywienie intelektualne w mieście i w środowiskach twórczych.

Wiele miejsca zajęły w obradach zespołu problemy młodzieży, nauki i oświaty. Jerzy Chabełski zawarł we wprowadzeniu do dyskusji postulat aktywizacji nauki w Łodzi, apelował o podjęcie takich konstruktywnych działań, by tętno życia naukowego było

rytmicznie i żywiole. Program taki muszą więc opracować same środowiska naukowe, jako że wyższa ranga nauki łódzkiej winna być ambicją każdego pracownika naukowego. Uczestnicy dyskusji wypowiadali się na temat doboru i kształcenia kadr naukowych, efektów nauczania młodzieży w warunkach rewolucji naukowo-technicznej, struktury wyższej uczelni, wychowania socjalistycznego, ściślejszych związków ośrodków naukowych z miastem i jego potrzebami.

Z troską mówiono o istniejących nieprawidłowościach, proponując konkretne rozwiązania. Wiadomo na przykład, że w ślad za niedawną reformą szkół wyższych nie poszło unowocześnienie ich administracji, że nie najlepiej przedstawia się rozeznanie, ilu i jakich specjalistów będzie w najbliższym czasie potrzebować gospodarka narodowa. Kwestia czekająca na rozwiązanie jest opracowanie szerszego programu awansowania młodych pracowników naukowych. Rozszerzenie uprawnień rektorów poprzez przekazanie im do decyzji pewnych spraw, będących dotychczas w wyłącznej kompetencji ministerstwa – zdaniem dyskusyjantów – usprawniłoby pracę szkoły wyższej.

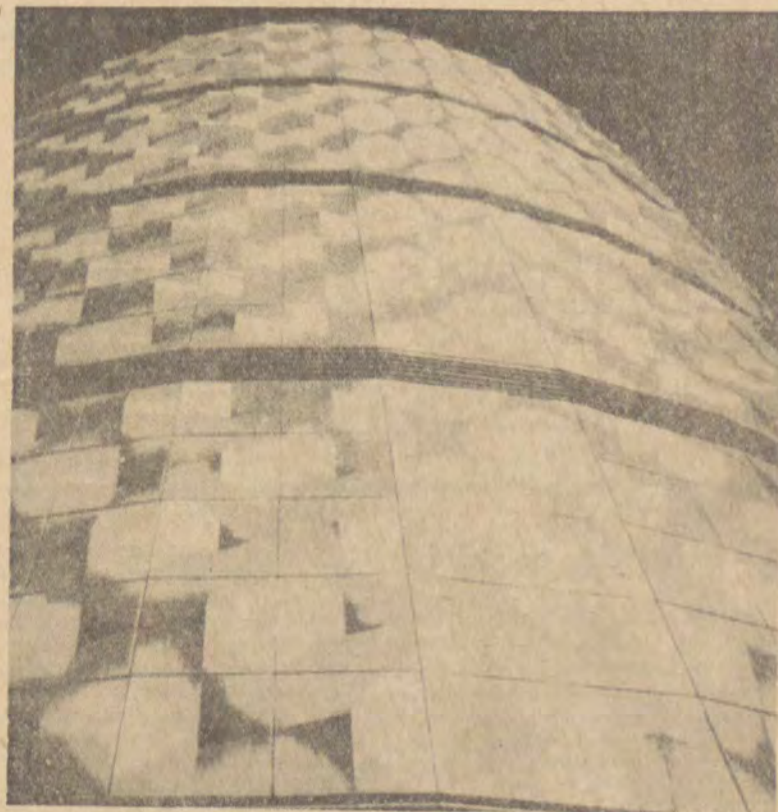
Postulowano także zwiększenie stanu zatrudnienia pracowników technicznych i administracyjnych dla odciążenia pracowników naukowych i dydaktycznych. W imieniu przeszło 20-tysięcznej rzeszy studentów łódzkich głos zabrała studentka AM, interesującą mówiąc o pilnej potrzebie krytycznego przeanalizowania struktury organizacyjnej ruchu młodzieżowego w wyższych uczelniach. Zgłaszając postulat reformy systemu stypendialnego, proponowała zastąpienie dotychczasowej praktyki formą pożyczki państwa, u-

marzanej potem najlepszym absolwentom. Nie trzeba uzasadniać szerzej, jak znakomita byłaby to zachęta do zdobywania dobrych wyników w nauce. Mówiono także o konieczności zmiany systemu przyjęć na studia wyższe.

Toczące się od dawna dyskusje na temat młodzieży i unowocześniania procesu nauczania kontynuowane były również w czasie obrad zespołu. Nauczyciele i wychowawcy, działacze młodzieżowi i społeczni, dziennikarze i literaci mówili o znaczeniu upowszechniania ideałów socjalistycznych, o celowości ofensywnej polemiki z wzorcami konsumpcyjnymi. Szkoły, placówki oświatowe, zakłady pracy, zatrudniające młodych ludzi, winny umiejętnie „gospodarować” młodzieżą, realizować program przystosowywania jej do nowych i nowoczesnych warunków życia, intensywnie kształtować poczucie odpowiedzialności za zespołowe wykonywanie konkretnych zadań.

Podkreślając rangę i znaczenie zawodu nauczycielskiego, zwracano uwagę na konieczność wychowania człowieka pełnego, możliwie wszechstronnie zapoznającego z wieloma dziedzinami wiedzy, mogącego szybko włączyć się do efektywnej pracy zawodowej. Słusznie apelowano o udział przedsięwzięcia i instytucji w dziele opracowania programów adaptacji młodzieży do pracy zawodowej.

W trakcie kilkugodzinnych obrad zespołu do spraw młodzieży, oświaty, kultury i nauki, zabrało głos 17 osób, 12 zgłosiło wnioski do protokołu z posiedzenia zespołu. Była to dyskusja szczerza i obywatelska, pozbawiona „bicia się w cudze piersi”, wskazująca drogi unowocześnienia istniejącego stanu, uświadamiająca, że przed nami wiele jeszcze do zrobienia i że „nasza przyszłość jest w naszych rękach”.



Teszcze niedawno w poczuciu mieszkańców Chojen miasto kończyło się na torach kolejowych przecinających ul. Rzgowską. Dalej było Zatorze. Każdy kto chciał się przedostać na jedną lub drugą stronę torów musiał czekać przed opuszczonym szlabanem. Tędy spływały role osobliwej granicy. Odcinały wielkomięską zabudowę od parterowych domczków, oddzielonych skrawkami poletek i koleinami ulic wysypanych szlaką lub wyłożonych wyboistymi kamieniami, uniemożliwiały wydłużenie na południe sieci wodociągowej i kanalizacyjnej, skazywały całe Zatorze na charakter peryferyjny w najgorszym tego słowa znaczeniu.

Odmianę przyniosło wybudowanie przestronnego wiaduktu. Teraz dawną granicę przekracza się, nie dostrzegając jej. Przedłużono linie tramwajowe, uruchomiono nowe połączenia autobusowe. Zatorze przestało być synonimem innego świata, zbliżyło się do wielkiej Łodzi. To wpłynęło na rozbudzenie uzasadnionych aspiracji mieszkańców tego rejonu. Pragną oni w coraz większym stopniu korzystać z wszelkich udogodnień i przywilejów wielkomiejskich. Chcą po prostu, aby ich Zatorze jak najszybciej stało się taką samą dzielnicą Łodzi jak inne — Górniak czy Dąbrowa.

*

Właśnie z mieszkańcami Zatorza wyznaczali sobie rendez-vous przy mikrofonie reporterzy z Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia. Przyjechali z całą aparaturą, aby nagrać wypowiedzi, które staną się tworzywem do opracowania audycji o kłopotach i bolączkach mieszkańców Zatorza. Spotkanie zaproponowano przed szkołą przy ul. Społecznej 13. Wysoki budynek nowej szkoły góruje nad niską zabudową okolicy. Jest siedzibą wszystkich organizacji społecznych — od Terenowego Komitetu Frontu Jedności Narodu po Społeczną Komisję Pojednawczą. Na frontonie wywieszono transparent z napisem: „Mikrofon w osiedlu”. Takie było hasło przygotowywanej audycji.

Przyszło około 200 osób. W większości ludzie starsi. Miejscowy aktyw i przypadkowi widzowie, którzy chcą zobaczyć jak to będzie wyglądać nagrywanie audycji, co inni powiedzą do mikrofonu. Ranek jest przejmująco chłodny. Wszyscy więc zbrali się w szkolnej sali z ciepłymi kaloryferami...

O godzinie 10 włączono mikrofon. Ustawiono go na podeście przed wejściem do szkoły. Odezwały się protesty. — Dlaczego mamy wychodzić na dwór? — narzekano. — Będziemy stali na zimnie? Ciepły pokój ma być dla tych z Prezydium?...

Reporterzy musieli cierpliwie tłumaczyć, że taka jest konwencja przygotowywanej audycji. Nie będzie to jeszcze jedno spotkanie mieszkańców z władzami dzielnicowymi. Przedstawiciele władz zaproszono jedynie po to, aby mogli posłuchać co ludzie mówią o swoich kłopotach i bolączkach. Dlatego siedzą w szkolnej sali, gdzie ustawiono specjalny głośnik połączony z mikrofonem. Przedstawiciele władz będą słuchać, aby później ustosunkować się do zgłaszanych postulatów i wniosków.

To trafiło do przekonania. Zaraz zgłosiła się pierwsza kandydatka. Miała kartkę. Już po pierwszym zdaniu o niej zapomniano. Mówiła z pasją o sprawach bliskich sobie i wielu sąsiadom. Tego nie musiała odczytywać. Może zdania były niewygodne i chropowate, ale na pewno płynące z głębokiego zaangażowania. — Rozkopano nasze ulice — mówiła. — Niech ktoś spróbuje przejechać Ustroną czy Siostrzaną. Mowy nie ma. Nawet pogotowie nie dojedzie. Był wypadek, że

właśnie dlatego zmarł jeden z sąsiadów. Karetka nie mogła dojechać. Utknęła. Innym razem lekarz pogotowia musiał nieść na własnych rękach rodzącą kobietę, bo nie mógł dojechać...

Nikogo nie trzeba namawiać do zabrania głosu. Ludzie sami się cisną do mikrofonu. Zebrali się kłopotów co nie miara. Choćby sprawa sieci handlowej. Jedyny w okolicy sklep czynny tylko na jedną zmianę! Wszystko trzeba z miasta przywozić. Brakuje nawet chleba. Na Powszechnej, Mieszczańskej i Strzeleckiej zasypano rowy ściekowe. Dlaczego nie można dostać się do przewodniczącego Prezydium DRN? Gdzie i kiedy można spotkać radnych z Zatorza? Kto jest dzielnicowym MO?...

W wypowiedziach przewijają się najrozmaitsze sprawy. Podstawowym problemem dla Zatorza jest jednak zaopatrzenie w wodę. Ten, liczący około 20 tys. mieszkańców, rejon Łodzi nie ma wodociągów. Wodę dowozi się beczkowozami. Ludzie rozumieją, że z dnia na dzień nie

KONRAD TUROWSKI

NA PĘTLI ŚWIAT SIĘ KOŃCZY

można wybudować sieć wodociągowej. Cieszą się z zapowiedzi, że wodę otrzymają w ciągu najbliższych trzech lat. Dlaczego jednak — pytają — nie można usprawnić dowożenia wody? Dlaczego beczkowozy przyjeżdżają kiedy chcą, a najczęściej wtedy, gdy ludzie są w pracy?

Cięgi zbiera też komunikacja. — Na pętli świat się kończy — mówi starszy mężczyzna. — Gdy się wyjdzie z autobusu trzeba brnąć po kostki w błocie. Kończy się wielka Łódź. Dlaczego autobusy jeżdżą nieregularnie? Dlaczego nie mamy bezpośrednich połączeń z centrum? Na przystankach nie ma wiat, gdzie można by się skryć przed deszczem i wiatrem...

Ludzie stojący w ciżbie przed szkołą zapominają o zimnie. Coraz więcej osób chce zabrać głos. Stają się coraz śmielsi. Wprost nacierają na mikrofon. Niektóre sprawy się powtarzają. To świadczy, że dotyczą wielu osób. Dochodzi do kontrowersji. Jedna z kobiet odczytuje z kartki, że w ostatnich latach wybudowano na Zatorzu szkołę, ośrodek zdrowia, uruchomiono linie autobusowe, oświetlono ulice... Ludzie jej przerywają: — To wiemy — powiadają. — Co nam jednak z dwunastu studni, jak wody w nich nie ma...

Kobieta nie daje za wygraną. Już bez kartki mówi: — A co, nie pamiętacie, jak chodziliśmy do pracy? Buty brało się w rękę i brnęło przez kałuże, a teraz mamy chodniki i można dojść do Rzgowskiej suchą nogą...

Większość obecnych pamięta te czasy,

Czyż można jednak mieć im za złe, że doceniając to, co już mają, chcą mieć więcej?

Chcą aby poszerzono ulicę Rzgowską, bo wiąże się to nie tylko z nadaniem jej bardziej reprezentacyjnego wyglądu, ale przede wszystkim z bezpieczeństwem ruchu na tej ruchliwej arterii w kierunku Śląska. Myślą o placówkach kulturalnych nie tylko dla swojej młodzieży, ale i dla rencistów. — Sporo mamy rencistów — mówią. — Może by dla nich urządzić jakiś klub, gdzie mogliby spędzać czas. Do miasta dla nich za daleko.

Skrzywdzilibyśmy mieszkańców Zatorza nie pisząc wyraźnie, że nie czekają z założonymi rękoma, aż im władze tereńowe wszystko załatwią. Deklarują pracę społeczną. Przypominają, że ułożone płyty chodnikowe na wielu ulicach Zatorza to przecież ich dzieło. Chętnie będą pomagać, to leży w ich interesie.

*

Wszystkich głosów mieszkańców Zatorza słuchają przedstawiciele władz dzielnicowych. Przyszli w licznych, bo aż 25-osobowym składzie. Są członkowie Prezydium DRN-Górna, są wszyscy kierownicy wydziałów i referatów. Skrupulatnie notują. Mimo woli nasuwa się refleksja: czy trzeba było aż Polskiego Radia, aby dowiedzieć się o kłopotach i bolączkach mieszkańców Zatorza? Może by przedstawiciele władz terenowych zechcieli skorzystać z powtarzających się w wypo-

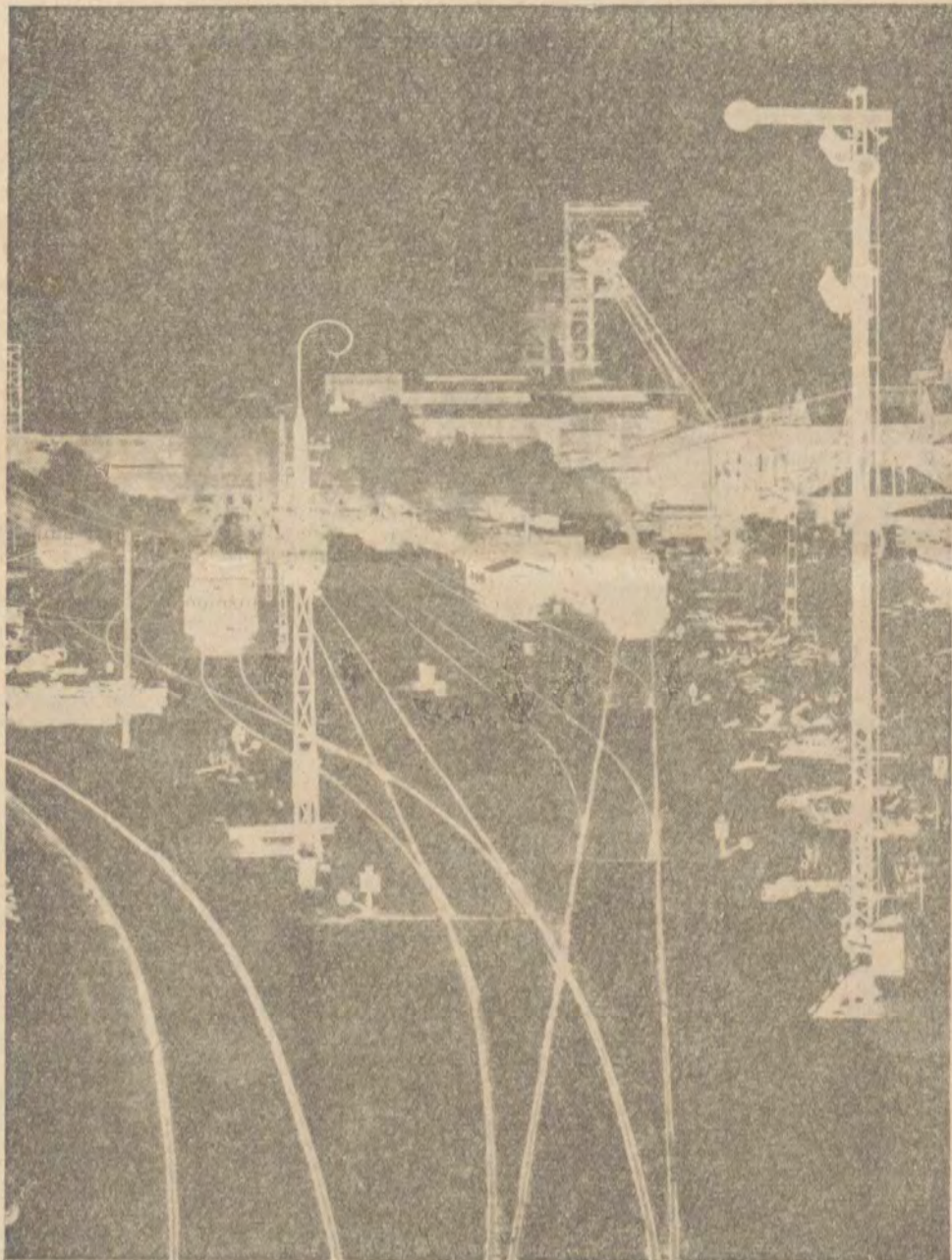
wiedziach mieszkańców zaproszeń do spacerowania się po Zatorzu, obejrzenia na własne oczy rozkopanych ulic? Z okien samochodu nie wszystko widać...

*

Mieszkańcy Zatorza mówili przeszło dwie godziny o swoich sprawach. Powstało z tego 20-minutowa audycja radiowa. Poruszyła ona sprawy najważniejsze. Będzie też w niej czas na wypowiedzi przedstawicieli władz dzielnicowych. Czy to wystarczy najbardziej zainteresowanym — mieszkańcom Zatorza? Oni oczekują konsekwentnej realizacji swych postulatów. Nie wszystkie wymagają nakładów finansowych, ogromnych wysiłków. Są przecież wśród nich tak proste i oczywiste, jak choćby sprawa kontaktów radnych z wyborcami.

Na koniec trudno powstrzymać się od wcale nie kumoterskiej pochwały dla kolegów z Polskiego Radia, inicjatorów audycji pod hasłem: „Mikrofon w osiedlu”. To po prostu dobry pomysł wprowadzenia w czyn stojącego przed tzw. środkami masowego przekazu zadania spełniania funkcji transmisji głosów mieszkańców do władzy. Tego rodzaju spotkania odbędą się jeszcze w kilku innych rejonach miasta.

A może warto za miesiąc lub dwa znów wyznaczyć spotkanie mieszkańców Zatorza przed otwartym mikrofonem, aby powiedzieli, które postulaty i jak zostały zrealizowane?



BEZ TELEWIZYJNEJ KAMERY

Dalszy ciąg ze str. 1

godziny. Sala była wypełniona do ostatniego miejsca, wielu robotników stało na korytarzu.

— Pierwsi w Łódź wpadliśmy na pomysł — pochwalił się sekretarz komitetu zakładowego — żeby telewizyjną trybunę obywatelską adaptować do warunków fabryki.

Pomyślałam sobie wtedy, że chyba nie pierwszeństwo jest tutaj najistotniejsze. W fabryce od dawna istniała konfliktowa sytuacja. Załozne nie odpowiadały formy pracy rady zakładowej. Najpierw rozmawiano o tym między sobą. W czerwcu, w trakcie rozmów partyjnych zaczęto mówić o tym niejako oficjalnie. Na początku października odbyła się zakładowa konferencja partyjna, a w tydzień później

podczas trwania „Trybuny FOS” mówiono o tym z całą załogą. I to jest największe osiągnięcie. W świetle tego 34 pytania nabierają innego znaczenia. I nawet nie dziwi mnie już fakt, że tylko jedno z nich było podpisane.

Pomyślałam sobie jeszcze, że chyba by nie było „Trybuny FOS”, gdyby nie wyłączenie właściwych wniosków z partyjnych rozmów, jakie przeprowadzono ze 172 członkami i kandydatami partii w „Polmo”.

2.

— Byłem jednym z tych, z którymi rozmawiano — powiedział towarzysz, Bolesław Niewiadomski. — Nie wiedziałem o co będę pytany i stanąłem przed partyjną komisją z uczuciem niepewności. Ale dobrze się stało, że odbyły się takie rozmowy, bo można było wreszcie powiedzieć o tym, co mnie już od dawna nurtowało. Mówiłem przede wszystkim o trudnościach, z jakimi moi koledzy i ja spotykamy się na co dzień w pracy.

W „Polmo” rozmawiano z tymi, których bierna postawa rodziła wątpliwość, czy powinni być dalej w partii.

Rozmawiano również z tymi, których postępowanie nie zawsze było zgodne ze statutem PZPR. Trzeba było przekonać ich o konieczności podjęcia decyzji — albo pozostaną nadal w partii, albo odejdą. Odeszło 20 osób, przeważnie najmłodszy stażem zawodowym i partyjnym, tacy, którzy w partii znaleźli się przypadkowo.

Rozmawiano również z tymi, od których spodziewano się ciekawych opinii, wniosków i propozycji. Nie wszyscy chcieli mówić. Wielu nie wierzyło, że to, o czym się mówi, może być załatwione. Kiedy udało się przełamać nieufność okazało się, że ludzie mają nie tylko coś do powiedzenia, ale i do zaproponowania.

— A co konkretnie? — zapytałam sekretarza.

— Zaproponowano na przykład, aby bardziej zróżnicować tematykę szkoleń partyjnych, biorąc pod uwagę przygotowanie i zainteresowania członków partii. Proponowano, aby dla omówienia i przedyskutowania ciekawych tematów zapraszać lektorów z komitetu dzielnicowego, łódzkiego, a nawet z KC Partii.

— Mówiono jeszcze — kontynuował sekretarz KZ — o potrzebie oceny i

kontrolli ludzi, którym przydzieliliśmy zadania partyjne. Mówiono o bolączkach zakładu, a także o problemach bardziej ogólnych. O potrzebie usprawnienia polityki kadrowej, o tym, aby właściwe stanowiska obejmowali właściwi ludzie. Postulowano też zaostreżenie sankcji wobec chuliganów.

Pytałam sporą grupę osób o ich zdanie na temat rozmów. Okazało się, że pojmowano je dwójako. Jedni traktowali to jako formę sprzyjającą utrzymaniu dyscypliny partyjnej.

— Teraz, jak ktoś opuści zebranie partyjne, szkolenie, lub nie płaci składek, to od razu z nim rozmawiamy — powiedział sekretarz organizacji oddziałowej z wydziału obróbki mechanicznej, Zygmunt Galanek.

— A ja sądzę inaczej. Rozmowę z członkami partii trzeba traktować jako formę konsultacji — stwierdził majster, Ryszard Heleniak. — Na zebraniu nie wszystkim łatwo jest mówić. Komisja też peszyła ludzi. Wprawdzie relację z rozmowy spisaliśmy już po jej odbyciu, ale ludzie o tym nie wiedzieli. Moim zdaniem, taką rozmowę powinna przeprowadzać egzekutywa POP, która chce się, po prostu, dowiedzieć, co ludzie myślą o pracy za-

Z inicjatywy Zarządu Wojewódzkiego ZMW w Łodzi przedstawiciele trzech pokoleń społeczników naszej pięknej Ziemi Łódzkiej spotkali się 13 i 14 listopada br. na zamku w Uniejowie. Najmłodszy miał dwadzieścia lat, najstarszy — Jan Ochędzan z Parciu, poeta ludowy — lat siedemdziesiąt siedem. Interesujące i pożyteczne było to spotkanie ludzi ogarniętych pasją społecznego działania w wiejskim środowisku. Zaproszenie na Zjazd otrzymało ponad 100 osób i zapewne wielu pominięto ze względów czysto organizacyjnych.

Nauczyciele i lekarze, agronomowie i zootechnicy, młodzi rolnicy i działacze kół ZMW w nieskrępowanej atmosferze zastanawiali się wspólnie nad istotnymi problemami życia kulturalnego, społecznego i gospodarczego współczesnej wsi. Mówiono wiele o trudnościach i potrzebach, dokonaniach i zamierzeniach, konfliktach i przeobrażeniach. Dzielono się dobrymi i złymi doświadczeniami. Rzecz zmienna — ustrzeżono się malkontentów i ogólnikowych pretensji, które często bywają udziałem podobnych spotkań. Co prawda jedna z działaczek ze swoim wdziękiem domagała się linii tramwajowej do swej wioski, lecz pozostałe wystąpienia cechowało duże poczucie rzeczywistości i konstruktywizm.

Przewodniczący Zarządu Uczelnianego ZMW przy Uniwersytecie Łódzkim, Antoni Demczyk, wskazał, że choć środowisko wiejskie dorobiło się po wojnie własnej inteligencji, to jednak odsetek studentów pochodzenia chłopskiego w ostatnim czasie niepokojąco maleje w naszym województwie. Jeśli średnio w kraju młodzież wiejska na wyższych uczelniach stanowi około 15—16 proc. studentów, to na UL w tym roku przyjęto zaledwie 8 proc. dzieci chłopskich. Okazuje się więc, że nie pomagają nawet kontrowersyjne — a niektórych środowiskach — punkty za po-

KAROL BADZIAK

Zjazd społeczników Ziemi Łódzkiej

chodzenie. Są podobno wioski w województwie łódzkim, które na przestrzeni ćwierćwiecza nie miały ani jednego studenta.

Barbara Niewiarowicz, nauczycielka z Szydłowa, poruszyła problem szerzącego się na wsi alkoholizmu. Groźna ta plaga występuje na wsi z jeszcze większą siłą niż w mieście.

W żywej i interesującej dyskusji poruszono całe bogactwo problemów, które nurtują wieś. Pozwolił sobie w skrócie niektóre z nich zasygnalizować:

— sytuacja dzieci chłopo-robotników. Obserwuje się w szkołach, że dzieci rodziców, dojeżdżających do pracy w mieście bardzo często opuszczają lekcje. Po prostu na nie spada ciężar pracy w gospodarstwie. Z materiałów, jakimi dysponuje ZW ZMW wynika, że w ubiegłym roku na terenie woj. łódzkiego 10.376

młodych osób w wieku od 16 do 29 lat nie posiadało ukończonej szkoły podstawowej. Natomiast 13.987 młodych rolników samodzielnie gospodarujących nie posiada kwalifikacji zawodowych, popartych wykształceniem rolniczym. Do prowadzenia gospodarstwa przyuczeni zostali tylko przez swych rodziców.

— sprawy kultury. Zajmuje się kulturą na wsi zbyt wiele instytucji, co powoduje rozdrobnienie funduszy na te cele. Niedroga rywalizacja GS z „Ruchem”. Prawie całkowity brak kwalifikacji kierowników klubów i bibliotekarzy. Dezintegracja inteligencji na wsi. Brak współdziałania z sobą wiejskich lekarzy i nauczycieli, agronomów i zootechników.

— wypoczynek. Niedziela na wsi — najsmutniejszym dniem tygodnia. Zbyt mały rozwój turystyki. Ponadto potrzeba mechanizacji pracy kobiet wiejskich.

wa na sposób traktowania w sytuacjach załatwiania różnych spraw urzędowych. Za życzliwość, zrozumienie ich potrzeb i skuteczność w załatwieniu konkretnej sprawy rolnicy odpłacają zaufaniem i oddaniem pracownika instytucji należnym autorytetem.

Revolucja społeczna, jaka dokonała się w naszym kraju, stworzyła niespotykane dotąd możliwości kształcenia lub dokształcania ludności wiejskiej. Pojawiła się szansa zdobycia zawodu o umysłowym charakterze pracy bez opuszczania środowiska macierzystego. W wyniku tych przemian mamy dziś na wsi inteligencję o ludowej genealogii, lepiej rozumiejącą potrzeby środowiska i ludzi, o naturalnych niejako podstawach do identyfikacji ze społecznością, w której żyją i pracują.

Istnieje jednak szereg zjawisk i procesów, które w mniejszym lub większym stopniu niekiedy nawet podważają, utrudniają spełnianie funkcji przez inteligencję wiejską. Inteligencja wiejska uplasowana jest niżej w pozycjach społecznych w porównaniu z inteligencją osiadłą w mieście.

Wies jako środowisko „deleguje” ludzi do miasta, zaś kierownicy życia publicznego zachęcają do powrotu na wieś, nie zawsze więc podjęcie pracy na wsi wynika ze świadomego wyboru. Powstają urazy i kompleksy, poczucie niższości wobec „miastowych”.

Aby aktywnie dokonywać przeobrażeń kulturowych środowiska, trzeba znać i rozumieć elementy tradycji i zdobyć się na krytyczny wybór o tym, co niesie ze sobą nowoczesność. Są bowiem w strukturze obyczajowości i sposobów zachowań środowiska wiejskiego takie elementy, które powodują konserwizm, skłonność do petrifikacji tego, co za stare, ale są również takie, których utrzymanie decy-

Jednym z najważniejszych zjawisk na współczesnej wsi polskiej jest niewspółmiernie duży wzrost nowych potrzeb życiowych w stosunku do możliwości ich zaspokojenia. Jedną z działaczek ujęła to lapidarnie: „Nam telewizor już nie wystarczy — my chcemy świat poznać osobście”.

Gośćmi Zjazdu byli gospodarze naszego województwa: I sekretarz KW PZPR — J. Muszyński, sekretarz KW — E. Gajewski, przewodniczący Prezydium WRN — R. Malinowski.

Uczestnicy Zjazdu wysłuchali z głęboką uwagą przemówienia tow. J. Muszyńskiego, który powiedział m.in.:

„Społecznik to człowiek, który nie zawsze uważa, że rzeczywistość, którą zastał, jest już doskonała i skończona. Społecznik to duch niespokojny, który najbliższy świat wokół siebie pragnie ciągle ulepszać. Wychodzi poza krąg codziennych obowiązków zawodowych. A czasem trzeba jednego tylko społecznika, ażeby dokonały się zmiany w środowisku”.

Zjazd społeczników Ziemi Łódzkiej był ważnym wydarzeniem. Przyczyni się niewątpliwie do zwiększenia dynamiki ruchu społecznego, który jest ważnym czynnikiem w przyspieszeniu przeobrażeń socjalistycznych na naszej wsi.

Podstawę do dyskusji na Zjeździe stanowiły dwa referaty: „Miejsce inteligencji w przeobrażeniach społeczno-kulturalnych wsi” — wygłoszony przez przewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego ZMW w Łodzi, Adama Dąbrowskiego, (fragmenty referatu drukujemy obok) oraz „Rola działalności kulturalnej w procesie modernizacji wsi” — referent, Mieczysław Gumola, działacz ZW ZMW.

Wies gospodarna — wsią kulturalną

(FRAGMENTY REFERATU A. DĄBROWSKIEGO)

Na początku naszego stulecia przedstawiciele nielicznych zawodów inteligentnych na wsi pochodzili z „zewnątrz” środowiska chłopskiego. W przeważającej części ludzie ci skłaniali się ku centrum kulturowemu, które stanowił dwór, lub ku miastu, z którego wielu inteligentów wiejskich się wywodziło. Rezultatem tych powiązań była podatność na przyjmowanie systemu wartości, zawierających negatywną, a często poniżającą ocenę wartości ludności wiejskiej. Inteligent tamtych czasów traktowany był przez wieś jako „obcy” — nie związany z życiem, troskami i potrzebami środowiska.

Identyfikowanie się ze środowiskiem, naturalna chęć działania w imię jego potrzeb i przemian było tak rzadko spotykane, że przykład Siłaczki i Judyma — bohaterów Żeromskiego — urosł do rangi symbolu, który nie znalazł zbyt wielu kontynuatorów. A jeżeli już się znaleźli, to ich wysiłki dokonania istotnych zmian

w społeczności, w której żyli i pracowali, kończyły się niepowodzeniem. Siłaczka i Judym symbolizują ludzi osamotnionych w swym szlachetnym wysiłku, noszącym znamiona charytatywnego posłannictwa, a nie działania wpłeczonego w szerokie uwarunkowania społeczne.

Na pierwszym naszym spotkaniu dyskutowaliśmy żywo nad tym, czy i dziś społecznik to Judym ze wszystkimi konsekwencjami działania w pojedynkę? Stwierdziliśmy, że nie — chociaż i dziś nie brak przykładów izolowanych zapaleńców spraw społecznych. Ale owe wyjątki potwierdzają powszechne zjawisko, jakim jest działalność społeczna, bez której trudno sobie wyobrazić życie wsi, jej rozwój gospodarczy i kulturalny.

Zarówno usytuowanie jak i rolę inteligencji na wsi w Polsce Ludowej trzeba widzieć w kontekście, czy też na tle zasadniczych procesów społecznych związanych z budową socjalizmu.

Społeczność wiejska jest bardzo wrażli-

wa na trwałość i wartości rodziny, autorytetu starszych i rodziców, pewnych wartościowych zasad moralnych.

Nie o hamowanie postępów procesów nam chodzi, lecz o wyrażenie troski, aby w tym procesie nie zagubiono lub nie zniszczono rzeczywistych wartości.

W ciągu najbliższych 4—5 lat wzrosną poważnie, bo w granicach 20 proc. dochody ludności zatrudnionej w rolnictwie. Większa część tego wzrostu będzie przeznaczona, rzecz zrozumiała, na produkcyjne potrzeby gospodarstw. W ogólnym bilansie w niewielkim zaledwie stopniu zwiększa się środki chłopskiej rodziny na potrzeby duchowe. Ale właśnie dzięki inwestycjom na maszyny, różnorodne urządzenia gospodarskie, usprawniające pracę itp. będzie możliwy wzrost wolnego czasu rolników.

W kontekście wspomnianych przewidywań jako pierwszoplanowy uważa się na ogół problem — jak ten czas wykorzystać, jak go „zagospodarować”.

Myśleliśmy, że jak będzie we wsi klub to i zabawy bezalkoholowe. Tymczasem tak nie jest. Sam fakt istnienia we wsi klubu nie oznacza automatycznie zmiany w stylu zabawy i kulturze młodzieży. Co więcej, ileż to skarg i anonimów plynę pod adresem klubów.

Okoliczność szerszego kontaktu wsi ze światem stwarza znacznie dogodniejszą płaszczyznę rozbudzania zainteresowań we wszechstronnych kierunkach. Współczesny mieszkaniec wsi wyszedł daleko poza opłotki swojego gospodarstwa, rodzinnej wsi. Ten związek ze światem trzeba rozwijać i wzbogacać nadając mu treść związku z kulturą ogólnonarodową. Aspiracje młodzieży powinny być dokonane głównie w nauce i rzetelnej pracy, co wiąże się w wyraźnym stopniu z podniesieniem społecznej rangi zawodu rolnika.

kladowej organizacji partyjnej i o pracy zakładu.

— A może rozmowami powinna zajmować się też grupa partyjna? — zapytałam moich rozmówców. — Przecież o pracy grup wyrażano się u was krytycznie. Czy taka forma działania nie umocniłaby i nie podniosła ich znaczenia?

3.

Znam włókniarza, który swego czasu był grupowym w swojej organizacji partyjnej. Był to bardzo dobry grupowy, którego często stawiano za wzór innym. Tajemnica powodzenia leżała w jego znakomicie prowadzonym zeszycie grupy, zawierającym barwne protokoły z comiesięcznych zebrań. Zeszyci ten pożyczali inni grupowi, odpisując co lepsze fragmenty, nie wiedząc przy tym, że autorem protokołów z nie istniejących zebrań był syn grupowego, student historii. Pamiętając o tym przykładzie, zapytałam jak pracują grupy partyjne w „Polmo”.

— Nie ma recepty na pracę grupy partyjnej — odpowiedział sekretarz KZ, Henryk Czekan. — Wiadomo, że ma ona interesować się sprawami swojego

„terenu”, planować tematy zebrań, ingerować w bieżące sprawy produkcyjne, mieć wpływ na stosunki panujące w brigadzie jej oddziale.

— A jak jest w praktyce? — pytałam dalej.

— W mojej grupie — odpowiedział Bolestaw Biskupski — najczęściej zastanawiamy się, jak poprawić to, co jest złe w produkcji. Zapoznajemy się wcześniej z tematem zebrania oddziałowej organizacji i omawiamy go.

— A u nas jest inaczej — przerwał Ryszard Heleniak. — Podaje się temat zebrania, ale wstępnej dyskusji nie ma. Ustala się raczej, kto będzie, a kto nie będzie na zebraniu i dlaczego.

— Ciągłe jeszcze nie ma takiej grupy — uzupełnił później sekretarz ekonomiczny KZ, Zdzisław Majewski — która umiałaby stworzyć atmosferę sprzyjającą właściwej ocenie ludzi. Taką atmosferę, w której można by było wytknąć prawdę w oczy.

— Czy to znaczy, że grupa nie bierze udziału w ocenie ludzi, mających na przykład awansować w ramach wydziału fabryki? — zapytałam.

— Nie mamy jeszcze takiej praktyki — odpowiedzieli kolejno moi rozmówcy.

To, co usłyszałam, utwierdziło mnie w przekonaniu, że grupy partyjne, aby móc właściwie działać na swoim „terenie”, muszą znać opinie członków partii o aktualnych problemach wydziału czy fabryki, muszą interesować się ich propozycjami i uwagami. Temu najlepiej służyłyby rozmowy. Jeśli więc rozmowy z członkami partii mają stać się codzienną formą działania, to powinny zaczynać się w grupie.

4.

Na VIII plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego Partii zwrócono uwagę na konieczność zapewnienia szerokiego udziału w pracach organizacji partyjnych ludzi, którzy rzetelnie pracują, cieszą się powszechnym autorytetem, wykazują ciekawe i pożyteczne inicjatywy. Komitet Zakładowy PZPR w „Polmo” i pod tym kątem starał się ocenić przeprowadzone u siebie rozmowy partyjne. Zdając sobie sprawę ze słabości niektórych grup partyjnych, powołano przy KZ aktyw robotniczy — konsultantów, którzy mają przekazywać instancji partyjnej wszystkie problemy na co dzień nur-

tujące załogę. Do grona aktywu robotniczego wszedł również Bolestaw Niewiadomski. Zapytałam go, jak pojmuje swoją rolę.

— Podchodzę do tego bardzo ostrożnie — odpowiedział. — Nie chciałbym rozczarować moich kolegów, którzy sądzą, że będę mógł załatwić to wszystko, z czym się do mnie zwróca. A ja mam przeleć przede wszystkim przekazywać ich sprawy zakładowej instancji partyjnej, wyrażać opinie, ułatwiać kontakt między komitetem zakładowym a załogą. Tymczasem już teraz mówią mi: załatw wreszcie nowe ostrzałki do narzędzi. Sprawa powinna być prosta, bo pieniądze są. Ale nie ma gdzie tego kupić, bo nikt w kraju ostrzałek nie produkuje. I co ja tu mogę pomóc?

Wątpliwości Bolestawa Niewiadomskiego zrozumiałam dobrze dopiero wtedy, gdy zapoznałam się z innymi problemami fabryki. Nie wszędzie jeszcze w „Polmo” są szatnie, nie wszędzie są miejsca, gdzie można by zjeść śniadanie, od ośmiu miesięcy nieczynny stoi kiosk, z roku na rok przesuwają się termin otwarcia stołów. Ki, brak jeszcze dostatecznej wentylacji w hartowni, malarni, galwanizerni

i piaskarni, a więc tam, gdzie są szkodliwe dla zdrowia warunki pracy. Niewiadomski i jego koledzy z aktywu będą więc mieć sporo roboty. Tymbardziej, że nowe kłopoty powstaną przy dalszym rozwoju fabryki.

Zaczęłam się więc zastanawiać, czy aktyw robotniczy nie powinien się właściwie do pracy grup partyjnych. Wzmocniłoby to niewątpliwie grupy, które przecież powinny być podstawowymi ogniwami pracy partyjnej w fabryce. Obawiam się, że nowe ogniwo — aktyw robotniczy — chociaż pomoże w pracy komitetu zakładowego w „Polmo”, to nie przyczyni się do aktywizacji grup partyjnych.

Być może moje wątpliwości okażą się w praktyce bezasadne, tym bardziej, że w ramach dyskusji przed VI Zjazdem Partii mówił się również o poprawie stylu i metod pracy partyjnej. W „Polmo” przygotowuje się kolejną „Trybunę FOS”. A więc będzie okazja do rozmowy także i o tych problemach.

Myślę, że tym razem goście z zewnątrz będą mile widziani.

BOGDA MADEJ

LUCYNA SKOMPSKA

Podmiot

to tylko chytry cień
zakurzona kotara którą trzeba nagle zerwać
zadymione szkło za którym się ukrywa
jest jak umarła tylko na chwilę usnęła
a widzi jak kurz świeci na kłamece
jak portrety matek zsuwają się ze ścian
jak chowam w hafcie bilet miłosny
jak w młotek później moje myśli
przybierają kształt ognistego przedmiotu
umarła a jej głos jest lustrzany
wołam tym głosem do swoich odbić
które przede mną ukryła i do umarłej
wołającej do mnie jest kilka spojrzeń
kilka źródeł ślepych i furtok
z głębin które się zamknęły
więc ciągle trwa jesień wlecznie jestem w parku
obok reklam koszul męskich
szukam kogoś i ktoś na mnie patrzy
gdy jestem z tobą i gdy mówię o niej
przecież umarła a śni moje siostry
których nie pamiętam perłowymi paznokciami
stukają w lustra a może w zasłony łazą się
wchodzą w nie jak w łóżce w którym się urodzę

1971

Wyróżnienie w Turnieju Jednego Wiersza
o Laur T. Micińskiego

EWA FILIPCZUK

Sierpień

Złotobłkitny, rzewny sierpień
Ubiera drzewa śpiewem ptaków —
W ziemię gorącą wdępcę smutek,
Tęsknotom dam imiona ptaków. —

Lato oznacza puste pola,
Maki skoszone plamą ziemię.
Żal mój opada pierwszym liściem,
Miłość wrześnie uśpi czerwienią.

Czekaniem nazwę gęste lasy,
Pamięcią są zeschnięte wiersze.
Niebo sierpniowe deszczem płacze
Wysokie drzewa — moja wierność.

Czołem dotykam gwiazd i nocy,
Siły mej niczym nie zwyciężysz
Sierpniowym słońcem ciebie spałę,
Kiedy powrócisz snem jesiennym.

Jestem niczyją, pustą ziemią
W gorącym słońcu pełni lata
Najczulszym sercem bije sierpień
Ostatnia pora trwania świata

Żarliwość moja — dzika róża
Zapamiętanie — noc sierpniowa.
Jesteśmy razem. Mija lato.
Za rok pójdziemy pośród zboża. —

TADEUSZ GIGGIER

Wiatr, brat jedwabiu...

Wiatr,
brat jedwabiu,
elastyczny strumień
spływający z ramion dziewczyny.
Ten spad — wodospad,
ten pion,
linia prosta
talii,
okrągająca nagle w kulę,
w kragle jabłko Ewy
z ledwie zaznaczonym śladem nacięcia.
Stąd ud konary
brazowe, półnagie,
po których,
jedwabnych po dwakroć,
wiatr
skomłąc
stacza się do nóg nieświadomej,
u stóp jej kłęka.
A ona,
zapaliwszy papierosa,
zapalka
pstryka mu w nos
mimowiednie.

Dom

Zdawało się, że to już takie proste: stopa ludzka
stanie po raz trzeci na księżycu. I nagle szok. Awa-
ria pojazdu kosmicznego. Gdyby nastąpiła w strefie
przyciągania księżycy, pojazd zostałby stałym sateli-
tą srebrnego globu. Jego załogę spotkałaby srebrna
śmierć.

Kiedy znaleźli się za tarczą księżycy, ustala łącz-
ność z nimi. Była wielka cisza w kosmosie, ziemia
wstrzymała oddech. Trwało to równe 20 minut. Po-
tem ktoś krzyknął: Są! Wracają na ziemię!
20 minut niepewności uświadomiło nam wszystkim,
że żyjemy w jednym domu.

Z przygotowanego do druku zbioru szkiców pt. „Z róż-
nych stron”.



MIECZYSLAW MICHAŁ SZARGAN

W śnie Twoim było — ssałem sutkę
Stałaś biała jak wiosenny ogród
Ogniem w kwiaty trafiony

Wierzę w kwiatów zmartwychwstanie
Usta nasze oderwane

Wierzę w kwiatów zmartwychwstanie
Ręce nasze odrabane

Wierzę w kwiatów zmartwychwstanie
Głowy drewnem całowane

To niemożliwe niemożliwe tak się nie stanie
Bo wierzę w kwiatów zmartwychwstanie

Mam Cię ze smutku rażonego zboża
A z takiej radości jakby się z chmury
Wyłamała zorza

Mam Cię z powagi poświęconej róży
A z takiej trwogi że aż bledną lustra
Moja Piękna Umęczona

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

Wielki

Niezmierna jest Wielkość Jego, jak i pragnienie
Wielkości. Jego Wielkość narzuca się nam i przyni-
ta, przytłacza nas. W Jego cieniu nie istniejemy już
prawie, gdy On nieustannie rośnie. Z Wyżyn Wyso-
kości Swojej — zaledwie nas dostrzega, gdy On
rośnie, stajemy się coraz mniejsi.

Sami, jakże często z własnej woli — wznosimy mu
cokół. W trudzie i pocie, brnąć przez bagna i cha-
szcze — nosimy cegły i polny kamień, bierwiona,
deski...

Aż nagle, niespodziewanie — rozlega się śmiech
malca. Zastygamy w grozie.

Cała misterna konstrukcja, cała podbudowa Wiel-
kości zaczyna się trząść, drzeć i walić się z hukiem.

Wielki padając z Wielkiej Wysokości Swojej rozbi-
ja sobie głowę na kawałki.

Dziwne to zaiste, nam starczyłby siniak.
Mając na względzie takie doświadczenie upatruję
często — kogo by tu Wywyżzyć?

STANISŁAW KASZYŃSKI

Licealiści z Pajęczna

Pajęczno, od dziesięciolecia
z okładem powiatowe mia-
sto, leży na południowych
rubieżach województwa łódzkiego.
Daleko od Łodzi, jeszcze dalej od
Warszawy. Fakt ten zostanie wy-
korzystany w finale tej relacji.
podbuduje nim morał, gdyż —
ostrzegam — będzie to opowies-
ka z odkrytym morałem.

Otóż do Pajęczna podróżuje się,
w zależności od układów komuni-
kacyjnych — od trzech godzin do
potowy dnia, bez względu na porę
roku. Ze zdecydowałem się tam
pojechać, nie należy utożsamiać
tego postanowienia ze szczegól-
nymi cechami mojego charakteru.
Nie to bowiem nie ma wspólnego
z odwagą, stało się za sprawą,
zrazu tylko zaproszenia, potem
okazało się, iż mogę nazwać je z
całą świadomością używania
określników, zaproszeniem arcy-
miłym. Po raz pierwszy wybrałem
się do Pajęczna w roku ubiegłym,
w czas szarug! jesiennych. Dla lu-
dzi, którzy lubią poezję niedy-
slejszych już pejzaży polskich, z

mgłą, deszczem i roztopami na
czele, podróż w takiej aurze ma
nieodparty urok. Już to, że coraz
trudniej spotkać na naszych dro-
gach prawdziwe błoto. Po wtóre
— ktoś dziś wsiada sam na stacji
(Biała Pajęczańska) do pociągu,
a pan naczelnik stacji, nie mogąc
wydać reszty z banknotu średnie-
go zasięgu, dzwoni do sąsiedniej
stacji, gdzie oczekuje pasażera
pan kasjer z odpowiednim bil-
nem. Pytam, komu się to zdarza?
Obawiając się skreśleń — komu
się to nie zdarza? — daruję so-
bie opis miasta. Bo przecież nie
daleko, łatwo zwiedzić.

Wówczas miałem odczyt o tea-
trze łódzkim, ostatnio mówiłem
o sytuacji we współczesnym teatrze
polskim i światowym. Miejscem
akcji była sala nowo otwartej bi-
blioteki, zlokalizowanej przy uli-
cy, która za kilka lat będzie ozdo-
bą miasta.

Poza gościnnością pań z księ-
garni, kwartetu muz, spełniają-
cych piękną służbę kulturotwór-
czą, z której i ja skorzystałem,

nabywając spod-ladowe dzieła,
urzekł mnie lokal biblioteki. Prze-
stronny, jasny i — gwar. I ten
gwar sprawił mi najwięcej przy-
jemności, nie bardziej ponurego
niż pusta biblioteka i zmartwiałe
z wyczekiwania na czytelnika
książki. Gwar — rozgwar koja-
rzy mi się zawsze z młodością.
Pajęczańskie schronisko wiedzy
zapelnia młodzież, przede wszyst-
kim młodzież. Do niej też mówi-
łem. Wspominałem, o czym mó-
wiłem. Ten odcinek akcji nie na-
leży do tematu, nie mogę prze-
cież pochwalić siebie, a ktoś by
dzisiaj, po latach bogactwa w do-
świadczenia z zakresu techniki
postępowania, uprawiał jeszcze
samokrytykę? Nie uchodzi! Do
tematu natomiast należy odcinek
następny akcji: dyskusja. Wkręca
się teraz w tę opowieść pewien
schemat, który narzuca taki oto
bieg rozmówienia:

Jeśli nawet coś wiesz o tea-
trze, to z pewnością nie wiele.
nie odezwa się ni słowem, w naj-
lepszym razie zapytają, czy lubię
Hanuszkiewicza, i dlaczego go
lubie albo nie lubię.

Do Łodzi daleko, do Warszawy
jeszcze dalej, żywy teatr przeje-
dza rzadko.

Ow schemat opierał się na tych
właśnie przesłankach, wcale prze-
cież nie bezasadnych. Mając to
na uwadze, ograniczyłem się do za-
gadnień w miarę nieskompliko-
wanych, łatwych do przyswoje-
nia, nie wymagających większego
przygotowania. Kalkulację te nie

sprawdziły się zupełnie, pomyli-
łem się diabło, cała rachuba wzię-
ła w łeb.

Odbyłem wiele spotkań i pre-
lekcji, związanych z dyskusjami,
stawałem przed widownią robot-
niczą, urzędniczą, chłopską, szkol-
ną, studencką, bierną, choć pota-
kującą, ospałą, lecz oklaskującą,
uprzejmą, ale obojętną. Wahałem
się niejednokrotnie, czy przyjmo-
wać propozycje gadania, docho-
dziłem nieraz do żalostnego wni-
osku, iż w większości wypadków
odczyty nie osiagają przypisywa-
nego im celu, szczególnie w śro-
dowisku wielkomiejskim. Mło-
dzież pajęczańska rozwała te
obawy. Rozproszyła je na korzyść
provincji odległej, dokąd podró-
żuje się od trzech godzin do pół
dnia.

A pytań było wiele. Pytań za-
skakujących dojrzałością i docie-
kliwością poznania, pytań, które
zdmiewały, gdy się zważyło, kto
je zadawał. O „teatr ubogi” Gro-
towskiego pytało, i o użyteczność
jego eksperymentów na gruncie
praktyki „normalnego” teatru, o
dramat absurdu wraz z jego kon-
sekwencjami dla dalszego rozwo-
ju dramaturgii, o happening, o
granice ingerencji współczesnego
inscenizatora w repertuarze kla-
sycznym. Itp., itd.

Z oczywistego faktu, iż książki
czy czasopisma rozchodzą się w
głęb kraju i osiagają miejscowo-
ci, gdzie kopci się jeszcze lampa
Łukasiewicza, z faktu tego wca-
le jeszcze nie wynika, że ludzie
czytają. Przypomina mi się w

tym miejscu szkic Lorentowicza
o książkach, opatrzonej najczul-
szymi dedykacjami, jednak z nie-
porozumieniami kartami. Smako-
wanie książek musi być zatem
jedną przynajmniej z pasji, które
oddają się młodzi ludzie z Pajęcz-
na. Spośród rozlicznych zatrud-
nień, jakie oferuje życie, czytanie
jest wcale skutecznym środkiem,
zwalczającym dzielnie wszelkie
paskudztwa, pleniące się nie tyl-
ko daleko od Łodzi i Warszawy...

Zaintrygowany tym fenomenem,
szukałem przyczyn sprawczych,
przypuszczałem, że jakieś moce,
inspiracja, oddziaływanie, przy-
kład wreszcie, sprzymierzały się
z dobrej woli, wydały ten plan.
Bo nie za sprawą nadprzyrodzoną.
Znalazłem. Nauczyciele. Pokłon
głęboki w ich stronę. Nie wymie-
niam nazwisk.

Wśród grona nauczającego mło-
dy, energiczny, pełen inicjatywy
i rozmówienia sztuk, człowiek,
absolwent naszej polonistyki, za-
palony teatroman i filmowiec.
Spotykając takich ludzi gdzieś
daleko, nie chcę odwoływać się
do beletrystyki dydaktycznej i wi-
dzić w nich tych, co to... żadne
siłaczki i doktry! Po prostu bo-
ję się, czy zostaną. Jak długo
jeszcze tam zostaną.

Zapowiadałem, że będzie to
rzecz z morałem. I tak jest. Oka-
zało się, już po skrupulatnym ob-
liczeniu, że jest ich kilka. Co gor-
sze, nie wiem, który z nich nale-
żałoby skreślić, ażeby utrzymać
się w konwencji stosownej. Na
słyszalność współczesnych uszu.

Karl Dedecius, znany tłumacz literatury polskiej, laureat polskiego PEN-klubu (1965) i Polish Institute of Arts and Sciences w Nowym Jorku (1968), a także członek towarzystw literackich i naukowych w NRF ogłosił pierwszą swoją książkę oryginalną pt. „Deutsche und Polen — Botschaft der Boucher (Niemcy i Polacy — Posłannictwo książek). Na okładce tej ciekawej i godnej uwagi publikacji zamieścił autor słowa Mitzlera von Koloffa z 1755 roku. Oto one w przekładzie na nasz język: „Szkoda, że tak mało cudzoziemców włada polską mową i nie jest w stanie wyrobić sobie pojęcia o polskich muzach. Większość grzeźnie w przesądzie, że polski wiersz nie może być tak piękny jak wiersz francuski czy niemiecki, albowiem nazbyt surowy wydaje im się ten język. Ale wszystko to jest urojeniem. Jeśli zechcecie uwierzyć mnie cudzoziemcowi, który podobnie, ale fałszywie myślał, to upevníam was jako ktoś, kto włada mową polską, że można pisać tak samo pięknie po polsku jak po francusku czy niemiecku”.

Mitzler von Koloff przywołany został na patrona książki o stosunkach niemiecko-polskich chyba nie przypadkowo. Urodzony w Saksonii, zmarł w Warszawie, gdzie zasłynął się jako organizator życia kulturalnego, wychowawca i wydawca i za jego liczne osiągnięcia król Stanisław August nadał mu w 1764 roku tytuł szlachecki. Książka Dedeciusa zawiera fakty znane, o których pisano już w Polsce i Niemczech, przytacza także fakty nieznanne lub takie, które uległy zapomnieniu. Mamy tu do czynienia z utworem, napisanym z pozycji głębokiego rozumienia dziejów kultury polskiej i pełnej dla

niej życzliwości. Mógł ją napisać ktoś, kto podobnie jak Mitzler von Koloff, zna nasz kraj, jego język, ludzi i literaturę. Przypomnijmy, że Karl Dedecius urodził się w Łodzi i tutaj uczęszczał do polskiego gimnazjum, z którego wyniósł niebyłaja-

JAN KOPROWSKI

„NIEMCY I POLACY” KARLA DEDECIUSA

kie władanie polszczyzną. Lista przekładów Dedeciusa jest obszerna, powszechnie znana i nie ma potrzeby przytaczać jej na tym miejscu raz jeszcze. Warto natomiast omówić bliżej jego książkę „Deutsche und Polen”, której cel określa autor w następujący sposób: „Szkic ten nie pragnie więcej, niż naprowadzić na zaginione koleiny, aby zachęcić ludzi powołanych — badaczy i polityków — do gruntowniejszego i dokładniejszego przebadania tych śladów. Ślady nie są, naturalnie, jeszcze drogą, ani zgola celem, ale mogą stać się drogowskazem i ukierunkowaniem”.

W dziewięciu rozdziałach książki Dede-

cius opisuje, w ujęciu chronologicznym, stosunki niemiecko-polskie na przestrzeni dziejów. Ciekawe są jego rozważania (i dowody), jak język niemiecki wpływał na rozwój języka polskiego i na odwrót: jak polskie słownictwo urabiało słowni-

two niemieckie. Piękny jest rozdział „Polen als Prufstein” (Polska jako kamień probierczy), ukazujący lawinę sympatii i poparcia ze strony niemieckich demokratów (głównie poetów, pisarzy i uczonych) dla Polski, która w czas zaborów zrywała się do walki o wolność i niepodległość. W rozdziale, poświęconym przyjaźni Stefana George i Wacława Rolicz-Liedera, znajdziemy nie tylko interesujące szczegóły o tych dwu pisarzach, ale również rozważania ogólniejsze w rodzaju: „Książki były i pozostały najwspanialszymi i najpewniejszymi posłami dobrej nowiny między Niemcami i Polakami”.

Niejednokrotnie już podnoszono atrakcyjność kultury polskiej dla cudzoziemców, którzy przyjeżdżali do Polski na krótko, a pozostawali w niej na zawsze, stając się jej gorącymi patriotami. Wśród takich cudzoziemców, spolonizowanych i zasłużonych dla naszego kraju, znajdują się również ludzie pochodzenia niemieckiego. Pisz o nich Dedecius, wymienając na pierwszym miejscu Samuela Bogumiła Lindego, autora wiekopomnego dzieła, jakim jest jego „Słownik języka polskiego”. W ostatnim rozdziale swej książeczki pisze Dedecius o polonikach w poezji niemieckiej i germanicach w poezji polskiej. Liczna jest grupa współczesnych poetów niemieckich, podejmujących w swej twórczości tematyczną polską: Gounter Grass, Peter Huchel, Horst Bienek, Johannes Bobrowski, Heinz Piontek, Gounter Kunert i wielu innych. Są w NRF poeci dwujęzyczni: piszący po niemiecku i po polsku jak np. Peter Lachmann.

Ciekawą, nabitą faktami pracę Dedeciusa, dopełniają aneksy i uzupełnienia, w których znajdziemy wykaz jego przekładów z literatury polskiej, wykaz jego odczytów i prelekcji radiowych o naszej literaturze, a wreszcie artykułów, które o Dedeciusu ukazały się w prasie polskiej. Jest tego niemało, co świadczy, że kontakty są żywe i coraz bardziej regularne. „Niemcy i Polacy” mogą służyć czytelnikom w NRF za przewodnik po mało jeszcze znanym, a przecież bogatym obszarze kulturalnym dziejów niemiecko-polskich.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Jastrun o Norwidzie

Tę książkę *) z powodzeniem mógłby Jastrun zatytułować „Mój Norwid”. Wprawdzie autor „Poezji i rzeczywistości” bywa na ogół oszczędny z wyrażeniami osobistymi w swych esejistycznych wypowiedziach, to przecież zbiór ten, owoc kilkudziesięcioletniej fascynacji, jest wyłącznie prywatną propozycją odczytania Norwida. Nie ma w nim wszakże żadnych śladów choroby na obiektywizm, choć raz po raz padają oceny wartościujące, podejmowane z pewnej historycznej perspektywy. Mimo to osobiste przeżycia, w tym dojrzały światopogląd petycki Jastruna, biorą górę nad scjentyficznym pojmowaniem poezji Norwida i dzięki temu otrzymaliśmy do rąk dzieło nie tylko o „przemienionym kołodziejcu” polskiej mowy wiązanej, lecz również i o samym Jastrunie. Ten mimowolny charakter esejistycznego pióra w gruncie rzeczy powoduje cechy wyodrębniające osobowość jego właściciela, sygnalizując jednocześnie trwałe wartości poetyckie.

Najpełniejszy rozwój twórczości esejistycznej Jastruna przypada na ostatnie dziesięciolecie. Tom „Między słowem a milczeniem” (1960) jest w pewnym sensie przełomowym w metamorfozach literackich Jastruna, któ-

ry wyżywszy się naleciałości ideologicznych minionego, niechlubnego w dziejach naszej literatury okresu ujął w pełni (jakkolwiek jeszcze nie tak głębokiej i dojrzałej jak w „Wolności wyboru”) krąg swych poetyckich zainteresowań i inspiracji. Wpływ Borysa Pasternaka na przedwojenną twórczość poetycką był bardzo widoczny (rytmika, sposób obrazowania), później Rilke (zjawiskowa faktura języka oraz metafizyka) — zajął miejsce rosyjskiego poety. Wpływy te były ze wszech miar owocne i nie miały wspólnego z epigonijskim naśladowaniem. Dochodzi do tego fascynacja autorami starożytnymi, symbolistami francuskimi, metafizyką Sępa Szarzyńskiego i Leśmiana, poetyką Holderlina, filozoficzną postawą Kochanowskiego i fenomenem naszej poezji, jakim był Norwid. Eskapada więc w czas i przestrzeń, a stąd już o krok od historiozofii, immanentnej rzeczy, zdaniem Jastruna, geniuszu poetyckiego. W jego pismach esejistycznych nie znajdziemy zbyt wielu kart poświęconych przemianom w najnowszej poezji: będą to co najwyżej uwagi czynione na marginesie, jako że pisarz nie powołuje się ambicjami krytyki bieżącej produkcji li-

terackiej, a przesłankami ambitniejszej natury, nieustannie penetruje obszary poetyckiej wyobraźni przeszłości, dobywając trwałych wartości. Tak, tych wartości i to dzięki pasjom faktu przemijania, efemeryczności, względności. W tej swoistej pojmowanej dyalektyce Jastrunowej mieści się Cyprian Kamili Norwid.

Jakkolwiek z wątpliwym wynikiem zdążył egzamin metoda genetyczna w odniesieniu do twórczości Jastruna, to w przypadku zainteresowań tego autora Norwidem jest ona wielce pomocna, co zresztą w jednym ze szkiców sam poeta czytelnikowi podpowiada. Abstrakcyjne, pojęciowe dzieło Norwida poprzez okupacyjne przeżycia stało się Jastrunowi niezwykle bliskie, wręcz składową częścią jego osobowości. Na dowód służy wiersz „List w przestrzeń”, napisany w 1944 roku w okupowanej Warszawie, będący wynikiem lektury „Quidama”, poematu, którego treść w dużym stopniu sprawdziła się w okupacyjnym życiu autora „Godziny strzeżonej”. Nie też dziwne, że szkło „Quidam” i sobowtór jest, moim zdaniem, najbardziej udanym esejem w całym zbiorze. Szeroki rozmach erudytyjny pozwala Jastrunowi na wyjawienie różnorodnych intelektualnych pasji i inspiracji Norwida. Zresztą przy interpretacji jakiegokolwiek utworu odbywa esaista wyprawę w głąb czasu, umiejscawiając zawsze myśl Norwida w planie historycznym, całkiem słusznym, gdyż nowatorstwo dzieła samotnika — przytulku św. Kazimierza polegało na stosunku do tradycji kultury śródziemnomorskiej i jej przewartościowaniu.

Myśl Jastruna mieści się w tym nie-

popularnym w dziejach naszej ideologii nurcie, który zajmował opozycyjne stanowisko wobec powszechnie głoszonej i przyjmowanej też o postawie narodowej, też w zasadzie afirmującej najłagodniejsze strony polskiej mentalności narodowej. I w tym właśnie stanowisku Jastrun jest szczególnie bliski Norwidowi: nadał kształt naszej myśli długim kultury europejskiej (przede wszystkim śródziemnomorskiej); tworzywo spoczywa w tysiącletniej tradycji Polski. Wiaże się to z nowoczesnym pojmowaniem roli poety i jego miejsca w społeczeństwie. „Należałoby żyć sobie dla dobra poezji polskiej, by z Norwida nie usłowno robić któregoś tam z rzędu wieszcza. To zupełnie zbyteczne. Wachlarz poezji Norwida jest na tyle rozciągnięty, od uroczego wiersza „W Weronie” po surową zwięzłość, godną Tacyty, „Lauru dojrzałego” (...), że nie ma powodu szukać dla Norwida nie przystających do niego określeń, do niego — satyryka i ironisty. Nie zamykajmy życia Norwida w romansie nieszerokości z panją Kallergis i w żalostnej, odrzuconej miłości do Marii Trebickiej”. Oczywiście nie chodzi tu o odrzucenie poety, bo jego miejsce nie jest jeszcze na cokolwiek myśli narodowej. Dla większości czytelników jest w dalszym ciągu owym Quidam, znanym z fragmentów, cytowanym i bardziej popularnym przez swe fatalne życie, aniżeli przez dzieło. Nie chodzi też z kolei o bezkrytyczne przyjmowanie tego, co autor „Promethidona” w swej spuściznie przekazał.

W tym momencie można mieć zastrzeżenia do analiz Jastruna, którego głównym celem jego przybliżenie Nor-

wida naszej epoce. Podjął się esaista trud niebyłajaki; ogromna kultura umysłowa była w stanie wyjaśnić wiele ciemnych stron Norwidowskich z tym jednak zastrzeżeniem, że wiele interpretacji zastąpionych jest cytacjami, tak jakby unikał Jastrun dosłowności i przyjął zasadę przemilczenia, niedopowiedzenia. W tym względzie pióro Przybosa jest doskonałe, sięgające głębiej w pokłady języka Norwida. Jastrun w przeciwieństwie do autora „Próby całości” nie trapi wyłącznie nowatorstwa (ograniczającego się na ogół w ujęciach jego opoentów do spraw języka), lecz próbuje wyznaczyć jego miejsce na mapie kultury Polski i Europy. Jest w tym wszystkim lapidarny, umiarkowany w sądach jak i też w stylu, pełnym swobodnego wdzięku. Nie sposób jest mówić o metodzie krytycznej Jastruna, która determinowana bywa na ogół tekstem Norwidowym i humanizmem w najlepszym wydaniu. Nie zawsze jednak zdobywa się Jastrun na krytyczne spojrzenie, a przecież w niczym nie uwiecznia dzieła Norwida, można jednocześnie mówić o anachronizmie jego poglądów (zwłaszcza na malarstwo), czy o języku, przez który w całości mogą nie oszukujemy się, przebrnąć jedynie koneserzy.

Pomijając te niedociągnięcia pióra Mieczysława Jastruna, należy być wdzięcznym jemu za to, że tak wyjawiał z ciemności słowo Norwidowe, że świecił, promieniując nie tylko na naszą epokę, ale na czas, w którym żyliśmy, żyjemy i żyć będziemy.

*) Mieczysław Jastrun, GWIAZDZYSTY DIAMENT Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971, str. 263.

Przeszłość i teraźniejszość

Ukazywanie się pierwszego tomu (1970) opracowanych pod redakcją prof. dr Stanisława Kalabińskiego studiów z dziejów polskiej klasy robotniczej odbiło się głośnym echem w prasie i piśmiennictwie naukowym. Dzieło to zostało przyjęte tak, jak na to zasługiwało, to jest z życzliwością i zainteresowaniem; w tym też tonie pisałem o nim na tym miejscu. Na tym tle nie miłym i zaskakującym dysonansem było wystąpienie jednego z historyków warszawskich na łamach popularnego ilustrowanego magazynu, w którym poczęto wyszukiwać różne niedostatki tego wydawnictwa. Oczywiście niepodobna odmawiać komukolwiek prawa do krytyki, zwłaszcza zaś uczonemu reprezentującemu tę samą specjalność, co redaktor i autorzy omawianego tomu. W tym jednak wypadku zabrzmiła ona w sposób szczególny, a to ze względu zarówno na niewystarczalność argumentacji, jak również — jeżeli nie przede wszystkim — na fakt, że krytyk z racji zajmowanego przez sie-

bie stanowiska był jednocześnie odpowiedzialny za to, że wydawnictwo to pojawiło się akurat w takim kształcie, w jakim się ukazało i uczęsniej żadnych obiekcji nie zgłaszał. Kontrowersja zakończyła się niesmacznym odwołaniem zarzutów i w niczym nie zahamowała — na szczęście — dalszych prac autorskich, redaktorskich i wydawniczych, których rezultatem jest kolejny, drugi już tom „Polskiej klasy robotniczej”, opublikowany pod redakcją St. Kalabińskiego w Państwowym Wydawnictwie Naukowym (1971). Składa się nań dziewięć rozpraw obejmujących wybrane zagadnienia historyczne z XIX i XX wieku. Tom ten otwiera rozprawa F. Tycha, poświęcona narodzinom masowego ruchu klasy robotniczej w Królestwie Polskim w latach dziewięćdziesiątych XIX w., po czym następują studia A. Zarnowskiej o statusie rodziny robotniczej pod koniec XIX stulecia oraz S. Kalabińskiego „Stan zatrudnienia w przemysle Białostocznym w latach 1870—1914”. Ta ostatnia

rozprawa oparta jest o obfity materiał źródłowy, czerpany z archiwów Leningradu, Wilna i Grodna i jest ambitną próbą statystycznego ujęcia badanego problemu; przynosi liczne tabele i wykresy. Kolejnym studium jest praca łódzkiego historyka jednego

mawianym tomie studium J. Ławnika „Place robotników przemysłowych w Warszawie w latach dwudziestych”. Wbrew popularnym przekonaniom autor wykazuje, że w interesującym go okresie place realne charakteryzowały się tendencją wzrostową, chociaż nie osiągnęły pu-

wartości plac na ostatnim miejscu, niższe place miała nawet w porównaniu z Madrytem, Pragą czy Wiedniem, które to miasta, podobnie jak Warszawa, nie należały do dużych ośrodków przemysłowych o wysokim popycie na siłę roboczą”. Rozprawa L. Hassa o składzie, dynamice i rozmieszczeniu klasy robotniczej w województwie warszawskim w okresie II Rzeczypospolitej jest zarówno pod względem tematycznym, jak i metodologicznym kalką znanej, ogłoszonej przed kilkoma laty książki innego warszawskiego badacza o klasie robotniczej stolicy w latach międzywojennych, dziwne, że tutaj nie wspomnianej. Studium K. Sawickiego omawia zatrudnienie proletariatu rolnego na Pomorzu Gdańskim w latach 1919 — 1929, zaś J. Chlebowczyk omawia polskie środowisko robotnicze Zaolzia w okresie 1921 — 1930. Całość tomu kończy przynajmniej kilka nowych materiałów z rozprawy H. Szurgacza „Okupacyjny ustrój pracy i „prawo pracy” dla Polaków w Generalnym Gubernatorstwie w latach 1939 — 1944”, nawiązująca tematycznie do znanych prac K. M. Pospieszalskiego czy Cz. Madajczyka. Autor szeroko

uzasadnił w niej twierdzenie, że „prawo pracy”, jakie obowiązywało Polaków w GG „nie było prawem pracy w rozumieniu burżuazyjnym. Stanowiło ono instrument realizacji celów politycznych i ekonomicznych III Rzeszy”.

Tyle złożyło się na treść drugiego tomu studiów historycznych, ukazujących się pod tytułem „Polska klasa robotnicza”. Wydawnictwo, którego celem jest ukazanie, w oparciu o rzetelne historyczne badania, miejsca klasy robotniczej w polskim społeczeństwie XIX i XX w., rozwija się szybko i owocnie; z niecierpliwością oczekujemy sygnalizowanego już tomu trzeciego i znajdującego się w opracowaniu czwartego. Szkoda byłoby, aby miało się ono zamknąć na tych kilku jedynie tomach. Sądzę, że warto byłoby się zastanowić nad przekształceniem go w publikację ciągłą, która postawiłaby sobie na celu integrację badań wszystkich polskich środowisk naukowych nad dziejami klasy robotniczej. Nie ludźmy się bowiem, że nawet cztery najlepsze tomy zdolają wyczerpać tę ogromną i jakże dotąd zaniedbaną problematykę.

JÓZEF GRZELAK

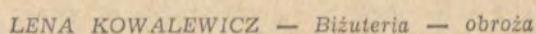
Badania nad historią klasy robotniczej

jak dotąd w licznych gronie autorów „Polskiej klasy robotniczej” J. Fijałka o zasadach ochrony pracy dzieci, młodzieży i kobiet w Królestwie Polskim w schyłku XIX w., związana tematycznie z nieopublikowaną jeszcze rozprawą tego samego autora o działalności Inspekcji Fabrycznej w przemysle włókienniczym Królestwa w latach 1885 — 1894. Tematykę dwudziestolecia międzywojennego inauguruje w o-

łapach sprzed I Wojny Światowej. Porównanie z innymi krajami prowadzi do wniosku, że „Polska należała do krajów o najniższych płacach”, mimo, że polski robotnik zaliczany był do „najlepszych na świecie”, był jednak „najgorzej opłacany i żył w najtrudniejszych warunkach materialnych. Warszawa w porównaniu z wieloma innymi stolicami i wielkimi miastami znajdowała się pod względem realnej

Organizatorzy wystawy zapominają, iż dla przedmiotów sztuki użytkowej taka ekspozycja to galowe przedstawienie, które zdarza się raz i nie powtórzy więcej (chyba, że ktoś wystawia wciąż te same pra-

Sztuka użytkowa po raz trzeci



I tak fatalna ekspozycja, a raczej jej całkowity brak, nie potrafiły zabić piękna szkieł Barbary Ur-

Na koniec trzeba odpowiedzieć rzecz zdumiewająca — oto organizatorzy wydali katalog, w którym są... zdjęcia prac z wystawy zesłorocznej (bo wtedy katalogu wydać nie zdołano), indeks uczestników wystawy zesłorocznej i na samym końcu spis, niepełny zresztą, plastików biorących udział w trzeciej, tegorocznej ekspozycji. W katalogu nie ma ani jednej reprodukcji z aktualnej wystawy. Nie ma też osób, które otrzymały medale. Niemniej sam fakt wydania katalogu odpowiadujemy tu jako prawdziwe osiągnięcie. Gratulacje, tylko co na to uczestnicy wystawy?

☆ ☆ ☆

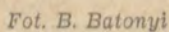
Na III Wystawie Sztuki Użytkowej w Łodzi przyznano medale: **Stefanii Olszak** za dywan turecki, **Irene Gniadczyskiej-Dulbiej** za zestaw projektów tkanin odzieżowych, **Grażynie Ławnickiej** za zestaw projektów tkanin odzieżowych, **Jerzemu Trelińskiemu** za zestaw projektów graficznych na Triennale Tkaniny Przemysłowej i Unikatowej, **Irenie Lewandowskiej** za zestaw tkanin płaszczyznowych, **Ewie Gralak** za zestaw biżuterii.

„CZY ZNASZ SERIE WYDAWNICZE LITERATURY
SPOŁECZNO-POLITYCZNEJ”?

4. W ramach tej serii ukazują się od 1968 r. prace poświęcone aktualnej problematyce polityczno-społecznej i wojskowej, związanej zarówno z wydarzeniami w kraju, jak i na arenie międzynarodowej, oraz prace demaskujące dywersje ideologiczną i polityczną wrogich ośrodków propagandowych. W tej serii ukazały się ostatnio następujące książki: J. Budziński — *Wielki front Indochiny*, E. Mały — *Laos, od ingerencji do interwencji*, E. Męclewski — *Duszpasterstwo czy polityka?*

K U P O N

- | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | |
|-----------------|---|---|---|---|---|---|---|---|---|----|----|----|----|----|----|----|----|----|----|----|
| 1. Seria | 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | 7 | 8 | 9 | 10 | 11 | 12 | 13 | 14 | 15 | 16 | 17 | 18 | 19 | 20 |
| 2. Seria | 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | 7 | 8 | 9 | 10 | 11 | 12 | 13 | 14 | 15 | 16 | 17 | 18 | 19 | 20 |
| 3. Seria | 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | 7 | 8 | 9 | 10 | 11 | 12 | 13 | 14 | 15 | 16 | 17 | 18 | 19 | 20 |
| 4. Seria | 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | 7 | 8 | 9 | 10 | 11 | 12 | 13 | 14 | 15 | 16 | 17 | 18 | 19 | 20 |
| Nazwisko i imię | 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | 7 | 8 | 9 | 10 | 11 | 12 | 13 | 14 | 15 | 16 | 17 | 18 | 19 | 20 |
| Adres | 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | 7 | 8 | 9 | 10 | 11 | 12 | 13 | 14 | 15 | 16 | 17 | 18 | 19 | 20 |



ANDRZEJ GAWROŃSKI

U twórców ludowych

A oto on sam. Niski, szczupły, długie włosy, nieśmiały uśmiech na drobnej twarzy. Zaprasza mnie do swej pierwszej izby niewykończonego jeszcze, nowego domu. Izba jest też jego pracownią. W kacie ustawione sztalugi, rozpięte płótno, na nim szkice jakichś

Pan Korpa zaczyna opowiadać o swojej twórczości, o swoim życiu, o radościach i kłopotach. Do malowania zawsze miał zamiłowanie. „O, dawniej — proszę pana — to u mnie w domu wszystkie ściany były zawieszono obrazami. A teraz nie zostało nic, te tylko co

Od czasu jednak, kiedy w konkursie zatriumfował nawet malarstwo zaczął zdrażać i coraz częściej dłuwał w kloku. A co też z tego dłubania wychodziło! Sieradzkie chłopcy, światki przeróżne, kapliczki, stacje Męki Pańskiej dla fary w Sieradzu. W najbliższym czasie zabierze się do szopek; konkurs akurat na nie ogłoszono. Dla siebie nie zostawia żadnej rzeźby. Wszystkie w muzeach, na wystawach, u

Pan Stanisław mówi dużo, szybko, zdarza się, że jednej myśli nie skończy, a już inną zaczyna, że wtrąca nie uwagi, wspomnienia, dygresja, zepchną na bok temat główny. Kiedy dopytuje się o szczegóły jego malowania, zachnie się żartobliwie, ale tłumaczy cierpliwie, wykladamą własną filozofię sztuki, nie skażoną książkowymi mądrościami. Nie wie nic o kierunkach, stylach, nie zna żadnych awangardzistów ani prymitywistów. Mówi jednak, że jego drzewa na obrazach opniach wysmukłych, paleziach rozchodzących się lukowato, jak żebra w sklepieniu świątyni, są „gotyckie”. Starannie komponuje całość, rozmieszczając uważnie poszczególne elementy. by — jak się mówi — obraz był dobrze wyważony. Kolor, farby dobiera według własnego kodu. Powiada, że „w farbach już jest zawarta myśl wesola lub smutna, czy też niewinna”. Rzeźb nie maluje. Musi być widać, że to jest drzewo, ono musi mieć swój kolor, zapach —

POLONICA

"PASJA" DEJMKI
WE WŁOSZECH

Rok 1971-72 będzie uroczystym, jubileuszowym sezonem słynnego włoskiego Piccolo Teatro, prowadzonego od 25 lat przez Paolo Grassiego w Mediolanie. Znamy ten świetny zespół z występów w Polsce, z niezapomnianymi spektaklami „Sługi dwóch pań” oraz „Awantur w Chiooggi” Goldoniego.

Na rok 1971/72 przewidziano m. in. wystawienie „La-żni” Majakowskiego, „Lu-lu” Wedekinda, „Sposa Francesca” lombardzkiego autora z XV wieku, Francesco di Lamene, nowej sztuki Hansa Magnusa Enzensbergera, „Antoniusza i Kleopatry” Szekspira (w reżyserii młodego francuskiego inscenizatora, Patrice Chareaux), „Joanny” Brechta (inscenizacja Strehlera), sztuki Eduardo de Philippo oraz „Pasji” Kazimierza Dejmki, której prapremiera odbyła się niedawno w teatrze szczecińskim.

Jak donosi paryski „Le Monde”, przedstawienia Piccolo Teatro odbywać się będą w dwóch salach, które ten zespół posiada w Mediolanie, a także w szkołach i na przedmieściach. Przewidziane są występy w Rzymie i we Francji.

W. N.

NORWID PO CZESKU

W serii znanej biblioteki Klubu Przyjaciół Poezji, wydawanej przez wyd. Československý spisovatel w Pradze, ukazał się wybór wierszy C. K. Norwida pt. „Czarne kwiaty” (Cerné květy) w znakomitym przekładzie zasłużonego Jana Pilara. Zbiorek zdobią rysunki poety. W specjalnej obwolutie dołączono mikropłytkę z recytacją „Fortepianu Chopina” w wykonaniu J. Admira na tie ballad Chopina.

Tomik Norwida przyjęto w Czechosłowacji z wielkim zainteresowaniem, a recenzenci traktują go jako wydarzenie literackie m. in. z uwagi na przekład, dokonany „z wielką wrażliwością i finezją”.

Warto tu dodać, że wcześniejsze w Klubie Przyjaciół Poezji ukazały się zbiory wierszy Gałczyńskiego i T. Wima, w przekładzie J. Pilara.

(er)

Późną jesienią br. Wrocław był międzynarodowym centrum młodego, awangardowego teatru. Na III Międzynarodowy Festiwal Festiwal Teatrów Studenckich, odbywający się pod hasłem: „Młody teatr głosem postępu” przyjechało 17 zespołów z Europy. Azji i obu Ameryk. Pełna nazwa Festiwalu jest nieco myląca, bowiem rozszerzając formułę teatru studenckiego, zaproszono do udziału w tym maratonie teatralnym także awangardowe grupy półprofesjonalne i profesjonalne.

Festiwal toczył się i tym razem dwoma nurtami. Jeden to przedstawienia, konferencje prasowe, spotkania z poszczególnymi zespołami, codzienne wieczorne dyskusje prowadzone przez znanych krytyków i animatorów życia teatralnego: drugi — nieoficjalny, pulsujący w antraktach, zadymionych klubach, w piwnicach i na ulicach. W dzień i w nocy.

Był Festiwal miejscem konfrontacji, wymiany doświadczeń, często ostrych sporów na temat sensu i zadań młodego teatru. Łączył w sobie dwa równoprawne elementy: troskę o oblicze teatru, tego prawdziwego, żyjącego i radykalnego oraz troskę o człowieka i sprawy społeczne.

Poprzedzony dużym rozgłosem i legendą zjechał z Nowego Jorku zespół „Performance Group”, którym kieruje Richar Schechner, awangardowy krytyk teatralny, założyciel i były redaktor naczelný znanego kwartalnika „The Drama Review”. „Performance Group” rezygnując z modelu teatru tradycyjnego, z podziału na scenę i widownię, urządza przestrzeń, środowisko do grania, tzw. environment, którego zorganizowanie jest nieodłączną częścią spektaklu. Pracując 50-60 godzin tygodniowo aktorzy przechodzą — jak mówił Schechner w czasie spotkania — trening, w wyniku którego muszą przeobrazić się w „żywe hieroglify”, a więc muszą umieć mówić, śpiewać, tańczyć, a nade wszystko, poznać i opanować ciało tak, by potem ekspresyjnie wyrazić nim zadane lub improwizowane treści. Zespół ten ostro krytykowany w Stanach Zjednoczonych za nieudolne naśladowanie Grotowskiego (dostało im się zresztą od niego także i we Wrocławiu) wzbudził żywe zainteresowanie i uznanie dla sprawności technicznej, naturalności i „rozluźnienia” aktorów, wreszcie dla treści i formy widowiska „Commune”. Jedynie w czasie spotkania z Schechnerem przedstawiciele „Teatru 8-go Dnia” z Poznania ostro wystąpili z atakiem na pseudoradykalizm, prowokację obliczoną w efekcie na epatowanie mieszczaństwa.

Parę słów o spektaklu „Commune”. Rzecz rozpoczyna się już przed drzwiami sali, w której zespół występuje. Widzowie ustawiają się w tasemcową kolejkę i wpuszczani przez samego Schechnera muszą zdejmować buty. W sali jest wspomniany environment — drewniany, falisty podest, duża balia z wodą, na podłodze napisy

(start, raj, dziura, latający organizm, tak), wokół na kilku poziomach krzesła i metalowe konstrukcje, na których siadają widzowie. Przy wejściu rośnie stos butów, a wykonawcy — także bosi — siedząc na podłodze wdają się w wchodzącymi widzami w rozmowy, opowiadają im o sobie, o spektaklu, o zespole. Spektakl „Commune” powstał w wyniku kilku miesięcznych improwizacji, w czasie wspólnego życia zespołu w komunie i jest zbiorem kilkunastu epizodów z dzieł Stanów Zjednoczonych, jak np. przybycie imigrantów, podbój Dzikiego Zachodu, zbrodnia w wietnamskiej wsi My Lai, morderstwo w willi Polanskiego.

ANDRZEJ HAMPEL

TEATR WALCZĄCY

du, zbrodnia w wietnamskiej wsi My Lai, morderstwo w willi Polanskiego.

Jest to widowisko gwałtownym, aczkolwiek czasem spłyconym i banalnym, oskarżeniem amerykańskiej władzy i społeczeństwa. Protestem przeciwko terrorowi, zbrodni, konformizmowi i bezduszności. Posługując się tekstami Biblii, Szekspira, Marlowe'a, Melville'a, materiałami publicystycznymi, improwizacjami, aktorzy „Performance Group” dowodzili, że ani zbrodnia w My Lai ani morderstwo Sharon Tate nie są tylko szokującymi świat incydentami, ale wpływają z głębokiego okrucieństwa zmierzającego do społeczeństwa, i że tym okrucieństwem przesycone zawsze było i jest życie Ameryki.

Młodzi Amerykanie szczerze wierzący w swoje prawdy z niebywałą naturalnością i ekspresją organizowali poszczególne epizody z zachowaniem wszystkich drastycznych sytuacji i słów. Mimo wszystko odniosłem wrażenie, że nawet torturowani i krzyżowani, absolutnie nagi aktor, wyznający: „To jest moje ciało, nie obchodzi mnie, co o mnie myślicie, mam to gdzieś”, pieszczoły innych wykonawców w połączeniu z pytaniami zasadniczymi na temat Boga, istnienia, historii, współczesności, ekspresyjny bieg, krzyk, szepc itp., to jednak za mało, by powoływać się na patronat Grotowskiego.

Nie znaczy to, bym zupełnie odrzucał propozycje „Performance Group”. Przede wszystkim optymizmem napawa fakt takiego właśnie widzenia amerykańskiej rzeczywistości przez młodych Amerykanów. To w sferze idei. Uznanie budzi także ich sprawność aktorska, pasja, skuteczne przełamanie barier między aktorem a widzem. Obawiam się jednak, że zasadniczy cel spektaklu — przedstawienie obrazów gwałtu i okru-

cieństwa Ameryki — poza kilkoma świetnie rozwiązanymi epizodami, nie został w pełni zrealizowany, bo rozproszony i przytłoczony formą, nie zawsze do widza docierał.

Drugi z teatrów amerykańskich — „Caravan”, kierowany przez studentki uniwersytetu w Cambridge, przedstawił kreację zbiorową pt. „Jak zrobić kobietę”, rzecz o pozycji kobiet w rozwiniętym społeczeństwie, ich seksualnej eksploatacji i dominacji mężczyzn. Teatr walczący, wykorzystywany w walce w akcjach organizacji amerykańskich, walczących

dą Czerwoni i ukradną wam wasze rowery”. Szlachetna w zamierzeniu kpina z włoskiej propagandy antykomunistycznej, ostrzeżenie przed faszyzmem i wyraźne opowiedzenie się po lewej stronie barykady przerodziło się, niestety, w monotonne gadulstwo i publicystykę na scenie.

W dyskusjach festiwalowych mniej miejsca zajmowały przedstawienia teatrów z Rumunii, Bułgarii, Związku Radzieckiego i Węgier. Z Bukaresztu przyjechał zespół „Archeatrul” z widowiskiem „Historia domu”, nie bardzo czytelną historią o rewolucji rumuńskiej. Przedstawienie bardzo niezgrabne, rosypane na wiele epizodów, po którym w pamięci został jedynie... ładnie wydany program. Spektakl „Analfabeta-70” w wykonaniu sofijskiego teatru „SU-113” (przyjęty przez widzów jako gorsza wersja gogolowskiego „Revizora”) był satyrą na konformizm i głupotę prowincjonalnych urzędników. Przedstawienie nudne i płytkie, tak że przywołany w programie jako patron Bertolt Brecht musiałby się potężnie wstydzić za takich wyznawców.

„Manekin” z Czelabińska przywiózł trzydziściu aktorów „Słońce wszystkim świeci jednakowo”, na który złożyły się teksty trzech różnych autorów. Tryptyk również bardzo niejednorodny, poświęcony wprawdzie jednemu problemowi — konfliktowi między marzeniem a rzeczywistością — ale, niestety, zamiar przerósł siły radzieckich studentów. Nie potrafili treści tych przełożyć na język sceny. Przedstawienie proste, bezpretensjonalne, z optymistycznym finałem — akceptacją humanizmu i braterstwa.

Węgierska grupa pantomimiczna „Domino” przedstawiła spektakl pt. „Historia de natura” inspirowany grafiką Boscha — dzieje człowieka od chwili stworzenia, aż do epoki obozów zagłady. Bardzo czytelne i czyste przedstawienie, niepotrzebnie zagmatwane nadużywanymi efektami świetlnymi. Brak miejsca, by szerzej omówić przedstawienia japońskiego teatru „Neo Kyogen”, międzynarodowej grupy „Kiss” z frywolnie zatyłowanym widowiskiem „Cycki Wenus”, zachodnoniemieckiego „Toubingen Zimmertheater” bardzo sprawnego aktorsko, holenderskiego „ASTV”, skontestowanego „Chene Noir” z Awinionu i innych.

Prawdziwym głosem postępu — co stwierdzono nie bez ogromnej satysfakcji — przemówiły w czasie III Festiwalu teatry polskie. Znakomite przedstawienia „Kalamura” — „W rytmie słońca”, przejmujące, gorzkie i mądre „Teatru 8-go Dnia” — „Jednym tchem”, STU — „Spadanie”. Były to teatry gorące i żarliwe, spektakle, które ważyły. Bez kokieteryjnych udiwnień, pseudoradykalnych okrzyków mówiły o sprawach najważniejszych dla współczesnego człowieka. Były teatrami prawdziwie politycznymi, bezkompromisowymi, aktywnymi.

w tym też jest życie. Fantastyczna, wydawałoby się, scenografia obrazów znajduje w jego wywodach racjonalne uzasadnienie.

Czas płynie, żona Korpy zaczyna go już karcieć za zbytne gadulstwo, przypominając, że robota czeka. Właśnie — robota w gospodarstwie. to, co najbardziej przeszkadza panu Stanisławowi. Chętnie by to rzucił, by tylko móc malować i rzeźbić. Ale to, przynajmniej teraz, niemożliwe. I tak trzeba godzić jedno z drugim. Krasie ciągle czas jednemu dla drugiego. Gdy przychodzi wiosna czy lato, rzucać trzeba pedzel i dłu- to, a brać się za kose i plug.

Jednak pracuje i tworzy, godzi to wszystko. Niechętnie mówi o swoich sukcesach, nagrodach w różnych konkursach, organizowanych przez sieradzkie muzeum, przez Cepellę w Łodzi (to jemu przypadły prawie wszystkie nagrody w niedawnym konkursie na pamiętkę z Ziemi Łódzkiej). We wrześniu będzie miał wystawę w Łodzi, w październiku w Domu Chłopa w Warszawie. Sorawia mu to radość, jest dumny, choć stara się to ukryć. Powodem dumy, już nieukrywanej, jest też syn, 11-letni Piotr.

Też maluje. Pan Stanisław twierdzi, że niedługo jego na pewno przegoni.

* * *

Początkowo wydawało mi się to mało prawdopodobne. Przez 50 lat nie wiedzieć, że się potrafi coś takiego robić. Nosić w sobie fantastyczny świat, pełen zagadkowych stworów, posiadać rzadką sprawność rąk i nie podejmować żadnej próby przyobleczenia tego w realne kształty. A tak właśnie było z Jadwigą Grałą z Burzenina. Gdyby nie wielokrotne namowy p. Neymanowej do spróbowania, czy nie wyjdzie coś z kawałka mokrej gliny, nie miałbyś. my może nigdy sieradzkich „cudoków”, „matyjosów”, „komediantów”, jak mówi o swoich figurkach ich twórca. Zresztą rezultat pierwszej próby przeszedł nawet oczekiwania pani kustosz. Spodziewała się wszak tylko jakichś prób na wzór garncarskich wyborów ojca pani Jadwigi. A tu nagle wyszły spod jej rąk cudowne stwory. Tajemniczy rycerze na jeleniach, skrzydlate konie — pegazy, kogutki, labedzie z olbrzymimi uszami, lwy z koronowanymi głowami... I tak zaczęło

się przed 10 laty to gliniane cudaczenie Grałowej. Sąsiedzi najpierw z uśmiechem machali ręką. Później, gdy przekonali się, że te „cudoki” wyruszyły w świat, a Grałowa dzięki nim jakoś zaczęła wiązać koniec z końcem patrzyli z zazdrością, wody ze studni brać nie pozwolili, mówili, że ja „kokoł opłot”, że duma ja rozpięra. Czegóż to nie potrafi ludzka zawiść! Bo sama Grałowa to prosta w o- bejściu, bezpośredniość, szczerłość; gdzie jej tam nad innych się wynosić. Cieszy się radością dziecka swoimi figurkami, cieszy się samodzielnością, jaka dzięki nim uzyskała; teraz już nie musi „wszystkiego odrabiać” sąsiadom w polu, jak dawniej. Żaluje tylko, że nie może swoich „komediantów” do końca wypieścić, bo nie stać jej na piec i wypalać musi Muszyński w Sieradzu. Woźa więc oboje z bratem „we „matyjosy”, przesennie- te nieco, chroniąc przed PKS-owskim ściskiem. by ich już więcej nie oglądać. Bo z Sieradza prosto do Łodzi Cepella zabiera. Choć czasami to i z tym nie najlepiej. Cepella nieregularnie odbiera figurki, nie chroni w transporcie, a później brakami Grałową obciążają,



„MATYJOSY”

Fot. A. Gawroński

Z tego też względu lepi pani Jadwiga najwięcej tych prostych zwierzątek, bez misternie wykonanych rogów, skrzydeł, bo te najłatwiej popsuć. A w niezwykle trudnej sytuacji materialnej, w jakiej znajduje się ta schorowana kobieta, liczy się każdy grosz i szkoda czasu i trudu na bawienie się, na ślęczenie godzinami nad jedną figurką.

W całym kraju jest ponad 2000 twórców ludowych,

Łódzkie zajmuje, przynajmniej w tej statystyce, pierwsze, bo drugie miejsce. Tuż po Krakowskim. Mamy ich ponad 300. Uprawiają różne rodzaje ludowej sztuki. Jednym z bogatszych regionów pod tym względem jest region sieradzki. W miejscowym muzeum, mieszczącym się w pięknej, pojągiellońskiej kamienicy z XV wieku, zgromadzone setki obiektów sztuki ludowej: wycinanki, pajaki, koronki, ce-

ramika, rzeźba, stroje i tkaniny, sprzęty i meble...

Sieradzkie muzeum stało się nie tylko domem dla ludowych świętów, ale także drugim domem dla wszystkich autorów tych dzieł. Wszyscy tu ciągną pod opiekunkę skrzydła kierownika i kustosa muzeum, mgr Zofii Neyman. Ona, w większości ich odnalazła, przywróciła wielu wiarę w siebie, w ich umiejętności, a niekiedy i w sens życia.

Nie wiem, czy uwierzyć...

MECZ JAKO REMEDIUM

Tydzień minął mi jakoś całkiem przypadkowo pod znakiem kontaktów ze światem artystycznym, a ściślej mówiąc aktorskim i choć nie były to sprawy o jednakowym ciężarze gatunkowym, ułożyły mi się w pewną całość.

Najpierw oglądałam dyplomowe przedstawienie studentów ostatniego roku wydziału aktorskiego PWSTFi TV. Przygotowali „Murzynów” Jean Geneta w reżyserii Zofii Petri i Michała Pawlickiego, aktorów niegdysiejszych, których pamiętamy dobrze z naszych scen. Z przedstawień warsztatowych nie należy pisać recenzji. Nie dlatego, że są mniej ważne od innych, lecz dlatego, by nie skrzywdzić nikogo zbyt pochlebną lub zbyt negatywną oceną. Wiedząc o tym najlepiej pedagog, że talent aktorski rozwija się — lub zamiera — dopiero w czasie normalnej, codziennej pracy scenicznej, że na jego wykrystalizowanie czekać trzeba nieraz kilka lat. I że czasem błyskotliwy rozkwit kariery teatralnej młodego w szkole studenta, lub odwrotnie — rozczarowanie, które przynosi aktor, uważany za utalentowanego jako student, najbardziej są zaskakujące dla pedagogów, którzy prowadzili ich przez cały tok studiów. A że dalszy rozwój młodego, wstępującego na scenę aktora zależy tyle od czynników subiektywnych jak m.in. skromność i pracowitość, co i od dalszych jego pedagogów — reżyserów, kończącej w tym roku studia młodzieży należy życzyć szczęśliwego wyboru sceny i wytrwałości w trudnym zawodzie.

Tegorocznymi absolwentami wstąpili w sztuce trudnej formalnie, sztuce mającej ukazać walkę Murzynów o wolność i równouprawnienie w konwencji alegoryczno-groteskowej. Sam fakt powierzenia tego trudnego tworzywa dramatycznemu dyplomantom, świadczy o wysokiej ich ocenie przez pedagogów. Jako, że był to pierwszy ich występ publiczny, pozwolę sobie wymienić nazwiska wszystkich wykonawców. Na pewno spotkam się z nimi nie raz jeszcze: Andrzej Bieniasz, Henryk Derewenda, Aleksandra Ford, Maciej Góraj,

Jerzy Góralczyk, Elżbieta Jarosik, Marian Krawczyk, Lucyna Mielczarek, Hanna Orszynowicz, Andrzej Precigs, Maciej Staniewicz, Krzysztof Stroiński, Krystyna Tesarz, Krzysztof Zakrzewski.

Ich pierwsza widownia, ta z przedstawienia dyplomowego, była jedyną w swoim rodzaju. Składała się głównie z rodziców, rodzeństwa i przyjaciół — spoconych z przejęcia, pedagogów i kolegów, zaciskających kciuki, żeby się powiodło. Tak życzliwej, wyrozumiałej, pełnionej sympatią widowni zapewne nigdy więcej nie będą mieli, ale dobrze, że ta pierwsza była właśnie taka.

Moje drugie zetknięcie ze światem artystycznym odbyło się w Klubie SPATiF, gdzie zaprosił mnie zarząd Klubu, niemile dotknięty wypowiedzią kierownika Wydziału Kultury Prezydium Rady Narodowej na temat pracy Klubu. Wypowiedź ta padła w wywiadzie prowadzonym przeze mnie i oznaczała, że zarząd Klubu nie dopracował się dotychczas żadnego programu działania. Nie czuję się na siłach zabierać głosu w tej sprawie. Nie śledziłam działalności Klubu, nie wiem czy jest w ogóle w stanie spełniać rolę czynnika integrującego środowiska twórcze Łodzi, bo nie wiem o jaką integrację chodzi i jakie zadanie ma ona spełniać. Zarząd Klubu SPATiF ma na łamach naszego pisma wyjaśnić sam swoje racje. Tak chyba będzie najsluszniej.

Do mocniejszych wrażeń, jakich dostarczył mi tamten tydzień, była dyskusja przeprowadzona w gronie muzyków łódzkich z okazji recenzji, które ukazały się w prasie łódzkiej po premierze przedstawienia „Białowłosej” Henryka Czyża w Teatrze Wielkim. Dyskusja ta przeniesiona na antenę radiową była tak interesująca, że pozwolił sobie napisać o niej szerzej. Innym razem. Oczywiście koncentrowała się na pretensjach do dziennikarstwa. Pretensje świata artystycznego do krótkiej prasowej są stare jak sztuka i prasa, a wyraża się je w różnych formach, zależnie od epoki, obyczajów i stylu bycia obu stron.

Starcia są oczywiście nie-

uniknione i zależą znowu od epoki... itd. Mnie osobiście podoba się jednak najbardziej forma starcia takiego, jakie zaprezentowali aktorzy i dziennikarze na stadionie „Polonii” w Warszawie w meczu piłki nożnej. To przeżabawne widowisko, dzięki transmisji telewizyjnej udostępnione całemu krajowi, było jedną z najlepszych audycji rozrywkowych nadanych przez Telewizję Polską w jej dziejach. Stało się tak przede wszystkim dzięki poczuciu humoru obu stron walczących oraz stylowi sprawozdania, który przyjął red. Jan Ciszewski. To była raczej konferansjerka. Red. Ciszewski dyplomatycznie opowiedział się po stronie aktorów, załatwił przy okazji kilka spraw osobistych z kolegami dziennikarzami, manifestując swą stronniczość

w sposób dowcipny i kulturalny. Aktorzy zagrali kilka bardzo ładnych scen teatralnych, dziennikarze starali się im dorównać, grą w piłkę mało kto się interesował, sprawozdawcy do końca nie wiedzieli jaki jest wynik meczu, kto wygrywa i dlaczego, kto strzelił gola i jakim cudem.

Do dziś nikt nie wie jak to się stało, że mecz zakończył się wynikiem remisowym. W każdym razie był to wynik salomonowy. Jestem przekonana, że odbudowa Zamku zintegrowała w Warszawie środowiska dziennikarskie i aktorskie. A może by tak w Łodzi zorganizować serię meczów integracyjnych? Na przykład na konserwacji zabytków województwa łódzkiego?

TERESA
WOJCIECHOWSKA



Rzeźba afrykańska

ŚLADEM NASZYCH PUBLIKACJI

Jak się dowiadujemy, Marian Borchardt — optyk, specjalista od szkła kontaktowych, o którym kilkakrotnie pisaliśmy na łamach „Odgłosów”, został ponownie przyjęty do pracy w Spółdzielni Lekarzy Specjalistów. Cieszymy się wraz z pacjentami, że nareszcie słuszną sprawą zwyciężyła.

RED.

OBIEKTYW

BAJKA O SKRZYPCACH

W środku wsi zatrzymuje się samochód Telewizji Polskiej. Wsiada z niego dobrze znany telewizorom Eugeniusz Pach w towarzystwie drugiego jeszcze pana. Wdają się w rozmowę ze stojącymi przy drodze chłopami. Pytają o Marcina, u którego znajdują się podobno stare skrzypce, być może wielkiej wartości.

Zapytani odpowiadają, wskazując właściwy dom, a raczej wiejską chatę. Tymczasem kamera dźwiękowa wszystkich skrzętnie notuje i towarzyszy reporterom telewizji kierującym się ku wejściu.

Tak rozpoczął się reportaż telewizyjny pt. „Stradivarius z Janowskiego powiatu” (Telewizja Warszawa, 16.XI.71, realizacja — Eugeniusz Pach, zdjęcia filmowe — Paweł Minkiewicz). Zachowanie się autora programu, podkreślone w zamierzeniu swym niedbalym prowadzeniem kamery, stwarzało z miejsca wrażenie, że dzieć się będą wielkie rzeczy, wobec których nie pora dbać o estetykę filmowego przekazu.

W ciastym wnętrzu chaty zebrała się chyba z połowa wsi. Pan Marcin pokazuje dwoje starych skrzypiec. E. Pach zagląda do jednego z nich i odczytuje ukryty wewnątrz napis: „Antonio Stradivarius Cremonensis facit”. Sensacja wisi w powietrzu!

Wiadomo, że Antonio Stradivari, czyli Stradivarius, był włoskim mistrzem lutniczym żyjącym na przełomie XVII i XVIII wieku w Cremonie. Wiadomo także, że posiadał sztukę budowania skrzypiec tak doskonałą, iż po wiekach nieznane zachowane w świecie egzemplarze dzięki wspaniałemu tonowi oceniane są na dziesiątki tysięcy dolarów.

I oto we wsi drodze pojawia się znowu auto telewizji. Tym razem wysiada z niego nasza znakomita skrzypaczka Wanda Wilkomirska w towarzystwie prezesa Stowarzyszenia Lutników Polskich, dr Włodzimierza Kamińskiego. Kamera znowu towarzyszy idącym ku domowi pana Marcina. Nie bardzo wiadomo, dlaczego pani Wanda dostaje się w obręb obejścia przez dziurę w płocie, ale ktoś by zwracał na to uwagę w obliczu fascynującej zagadki!

Następuje nowa seria rozmów w wypełnionej ludźmi izbie (dzieci zgodnie z wiejskim schematem zaglądają do wnętrza przez szybę), po czym pani Wanda gra na skrzypcach pana Marcina kująwiaką Wieniawskiego i coś tam jeszcze. Później sięgnie po skrzypceczki sam pan Marcin. Zbliżamy się wielkimi krokami ku rozwiązaniu. Dr Kamiński wkłada do otworu skrzypiec, zwanego „efem”, coś jak lusterko dentystyczne, następuje szybka ekspertyza i pada orzeczenie: jedne skrzypce pochodzą z końca XIX wieku, drugie najwyżej z lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia.

Czar pryska! Stradivarius z Janowskiego powiatu nie jest Stradivariusem. Finita la commedia! Góra urodziła myś.

Gorzej jednak, że takiego końca o skrzypcach można się było od razu domyślić. Przed kilkudziesięciu laty istniały w Niemczech firmy poligraficzne masowo produkujące fałszywe wielkie do skrzypiec, mające imitować napis kładziony ręką mistrza Stradivariusa. W ostatnim czasie mnożą się u nas przypadki, że ktoś zajrzy do środka skrzypiec i ze wzruszeniem odczyta rzekomy podpis kremonskiego mistrza. Każdorazowy odkrywca przeżywa potem rozczarowanie, gdyż skrzypce okazują się instrumentem małej wartości.

Po co więc telewizja jednemu z takich przypadków usiłowała nadać rangę wydarzenia? Po co zaangażowała autorytety, by raz jeszcze stwierdzić, że chodzi o pomyłkę? Usensacyjnianie życia na siłę nie jest chyba dobrą receptą na reportaż telewizyjny. Tym bardziej, że i sam problem wybrano blady, banalny, o nikłej wadze społecznej.

Chciałoby się prosić red. Pachę, by swój rozmach i temperament reporterski angażował w sprawy poważniejsze niż jeszcze jedna bajka o Stradivariuse.

WLADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Dawno nie było na naszych ekranach westernu, szczególnie premiery dzieła ostatnio długie mieszkające. „Zawodowcy”, „Złoto McKenny”, „Był tu Willie Boy” (o zatem niemal „wydarzenia sezonu” i nie tylko dlatego, że są to naprawdę bardzo dobre filmy, na słabsze ludzie również by biegali).

Wielu reżyserów czyniło wszystko, by western odmłodzić, by opowieść westernową traktować jak opowieść historyczną (boć to przecież kawał historii Ameryki), by western uczynić tylko kanwą rozważań ponadczasowych i ogólnoludzkich. Dodajmy do tego wszystkiego próby przełamania gatunkowych konwencji, prowadzących do tego, że właściwie czasami pozostajemy tylko wobec niezmiennego „ikonografii” gatunku. Ale może właśnie ta ikonografia sprawia, że cała ewolucja, jaka przeszedł western, nie odebrała nam tych odczuć podstawowych, niemal pierwotnych, których doznajemy w chwili, gdy gasną w kinie światła i przed oczyma zjawia się pejzaż amerykańskiego Zachodu oraz zrośnięty z nim bohaterowie. Refleksja intelektualna zjawia się dopiero potem.

Tak też się dzieje, gdy oglądamy film Abrahama Polonsky'ego „TU BYŁ WILLIE BOY”, najpierw smakujemy tyk

orzeźwiającego powietrza, dopiero później czujemy jego gorzki smak. O ową gorzkość też twórcy chodzilo. Polonsky'ego nie interesuje sentymentalna, legendarna owiana historia Zachodu, przedstawia ten jej moment, kiedy zwycięstwo białej cywilizacji stało się faktem. Bohaterem swej opowieści czyni Indianina, który chciał jeszcze wierzyć, że wolno mu nim być przyjaźnił się w sferze obyczajów i praw, którymi kierowali się jego przodkowie. I Willie stał się na powrót Indianinem, lecz nie tym, który kontynuuje obyczaje swych czerwonoskórych przodków, lecz tym, którego znowu ścigają biali, ci sami biali, którzy ścigali i zabijali jego dziada i ojca, którzy na ich ziemię przynieśli swoje prawa. To przywołanie sytuacji, która zdawała się już przeszłością, jest najbardziej przejmującym wątkiem filmu polonsky'ego, wątkiem, którego sens łączy się nie tylko z Ameryką z początków naszego wieku, „polowania na czarownicę” nie skończyły się wraz z historią Williego Boya. Sam Polonsky osiemnaście lat nie realizował filmów, był na „czarnej liście” MacCarthya'ego.

Planujący w finale filmu stos i skłupieni wokół niego biali, którzy nie tak dawno temu żądali by skąpu, a których łupem

obecnie jest sensacja głosząca triumf „białego prawa” nad zaszczutym człowiekiem, stanowią obraz przejmujący i sumujący ideę „Willie Boya”. Wybierając dla jej przekazania formułę westernu Polonsky pozostał wierny jego zasadom: konflikt manifestuje się w działaniu, psychologia w gestach, poszczególne etapy opowiadania zamknięte są w typowych rozdziałach — zasadzka, pościg, pojedynki, pejzaż tłumaczy się sam — po prostu jest. Od tradycji westernu odbiega Polonsky tylko w prowadzeniu wątków miłosnych, brak happy-endu zaś przeszedł już być dawno westernową zasadą. A więc jednak western, ale western jako pełnoprawny partner każdego dramatu społecznego.

Jeszcześmy się nie skończyli śmiać z „Zandarma”, który się żenił”, a już Louis de Funès czyha na nas w „WIELKICH WAKACJACH”. Mogło się zdarzyć, że ktoś, nie lubiący farsy, siedział na „Zandarmie” ze względnie ponurą czy pogardliwą miną. Jeśli zdecyduje się na

„Wielkie wakacje”, tym razem zostanie jednak przez de Funesa pokonany, choć z nieczym nowym się nie spotka. Louis de Funès, tak samo jak zawsze, walczy ze światem ludzi i przedmiotów spryskanych przeciw niemu, jeździ, biega, fruwa, szaleje, wrzeszczy. Przyznać jednak trzeba, że w tym ostatnim filmie ta wodewilowa komedia pomyłek i z farsy wzięta szaleńcza gonitwa z przeszkodami, jest wyjątkowo śmieszna, a de Funès, mimo, że taki sam jak zwykle, w wyjątkowo dobrej formie. Trudno mieć do realizatorów pretensje, iż wygrywają stare często pomyśły, jak choćby owe przeciwnieństwa narodowych cech Anglików i Francuzów, bo trzeba by mieć pretensje właściwie o wszystko, a na to nie mamy w kinie czasu. Zadbaj już o to stały reżyser de Funès — Jean Girault, nadając zdarzeniom tempo niesamowite, gromadząc gagi stare i nowe i nie wstrzymując temperamentu niespożytego w swej witalności komika. Głupie to wszystko, ale naprawdę śmieszne.

EWA NURCZYŃSKA

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

WSPÓŁCZESNA SZTUKA EGIPSKA

W paryskim muzeum Galliera odbywa się interesująca wystawa pod nazwą „Oblicze współczesnej sztuki egipskiej”. Wystawia tu swoje dzieła około pięćdziesięciu artystów z ARE. Wystawa reprezentuje różne kierunki i tendencje artystyczne. Tego rodzaju ekspozycja sztuki egipskiej ma miejsce po raz pierwszy w Paryżu. Ekspozycje zostały wybrane przez Mi-

go, a nawet dzieł kaligrafii artystycznej. Reprezentowana jest sztuka zarówno figuratywna jak i abstrakcyjna. Dostrzega się w dziełach egipskich artystów wpływy malarstwa europejskiego, jak też i wyraźną tendencję do izolowania się od nich, do kontynuacji tradycyjnej sztuki ludowej, i tak na przykład tapiserie wykonane pod kierunkiem architekta Ramzesa Wissi Wassefa są wyraźnym przejawem chęci oparcia się jedynie o elementy

Gizeh na przedmieściu Kairu. O ile to możliwe, zespół ten został odczytany od wszelkich wpływów sztuki europejskiej. Tkackość to wykonywane jest z surowej wełny i bez stosowanych zazwyczaj szablonów przygotowanych, których. Zespół, który osiągnął ciekawe artystyczne wyniki, pracuje już blisko dwadzieścia lat. Tematyka tapiserii jest różna — sceny mitologiczne, legendarne lub z życia egipskiej wsi. Zespół używa barwników jedynie pochodzenia roślinnego, dzięki czemu kolory tych tkanin są niezwykle żywe, a ponadto odznaczają się dużą trwałością. Format tkanin bywa niewielki.

Na wystawie znalazły się też dzieła zwane po egipsku „batik”. Jest to rodzaj odciskanych farb na tkaninie. Zazwyczaj tematyka tych „batików” jest szeregiem scen z legend Izraela, a nawet z odległej historii Egiptu faraonów.

Egipskie malarstwo olejne reprezentują tacy artyści jak m. in. Tahia Halim, którego obraz „Wojna” zwraca uwagę siłą ekspresji i ciekawą techniką malarstwa polegającą na szczególnym kontrastowaniu bieli i czerni z kolorową płaszczyzną obrazu. Inne ciekawe płótna to obrazy przypominające ikony, co zdaje się świadczyć o wpływach koptyjskich. Oryginalnością odznaczają się dzieła kaligraficzne m. in. Youssefa Sidy i Omara El Nagdi. Niezwykła dekoratywność tych obrazów sprawia niezapomniane wrażenie.

Kamal Amin i Orarlam Abdel Aleem pokazali interesujące akwaforty, a Salah Abdel Kerim i Abdel Hay Goma wystawili rzeźby; pierwszy — dzieła w metalu, drugi — w granicie. Wystawa współczesnej sztuki egipskiej wywołała u francuskich widzów ogromne zainteresowanie, a dziennik „L'Humanité” pragnąłby jeszcze szerszego i pełniejszego wyboru dzieł artystów z ARE.



Kaligrafia artystyczna Youssefa Sidy. Obraz olejny malowany na dykie.

nistra Kultury i Informacji ARE i panią Eflatoun, komisarza wystawy. Ogółem znalazło się tu ponad sto dwadzieścia ekspozycji: obrazów, rzeźb, grafik, tkacka artystyczne-

sztuki narodowej i ludowej Egiptu. Ramzes Wissi Wassef zorganizował niewielki zespół tkackich rzemieślników w pracowni położonej niedaleko piramid, w

CHARLIE CHAPLIN W PARYŻU

W związku z chaplinowskim festiwalem filmów w Paryżu cała prasa francuska poświęca wiele uwagi znakomitemu filmowcowi. M. in. „Figaro Littéraire” drukuje wywiad swego przedstawiciela z 82-letnim Chaplinem. „Film musi być przede wszystkim rozrywką — mówi znakomity twórca



filmowy — i musi przede wszystkim wyrażać uczucia, niezależnie od tego czy będą to uczucia miłości, społeczne, czy humanistyczne lub estetyczne. Jedynie istotna jest emocja, która je wyzwala”. Na temat polityki Charlie mówi: „Dwie z polityki i zawsze z niej d.wiem. Interesuję się szczęściem i cierpieniem ludzi, ale nie przyczynami”.

Zdumiewające to słowa w ustach człowieka, którego dzieła i kreacje filmowe z tak drapieżną wnikliwością obnażają stosunki kapitalistyczne mają tak wyraźną wymowę polityczną, filmowca, który z takim mistrzostwem swego talentu potrafi ukazać dołę i niedolę szarego człowieka uwikłanego w przerażający i miazmatyczny ludzki jednostkowy system i mechanizm działania wielkiego kapitału.

Jeśli chodzi o słynną postać filmową tak znaną i tak powszechnie lubianą — małego i pokornie śmieznego człowieka w za wielkich butach, przyciasnej marynareczce, w meloniku na głowie i lasce — w ręku, to Chaplin wyjaśnia jakże miał intencje kreując ową postać: „Widomo — mówi Charlie — że ludzie lubią oglądać walkę dobra ze złem, bogactwa z biedą, szczęśliwca i pechowca, że lubią śmiać się i płakać, i to wszystko w przeciągu kilku minut. Publiczność lubi kontrasty i dlatego posługuję się nimi stale. Jestem (Charlie mówi tu o swej słynnej kreacji małego człowieczka) prze-

śladowany przez policjanta, to ten policjant musi być ciężki i niezgrabny, podczas kiedy ja, jakby pływając się u jego nóg, wydawać się muszę lekki i zrezygn. Jeśli jestem w tych filmach źle traktowany, to zawsze przez człowieka ogromnego wzrostu. Przez ten kontrast, przez mój niewielki wzrost, osiągam sympatię widzów. Zawsze podkreślałem tę słabość, kulać moje ramiona, robiąc żalostną i zastraszoną minę. Tysiąc razy wolę osiągnąć śmiech publiczności odwołując się do jej inteligencji niż przez przedstawianie brutalności czy banalu”.

Charlie Chaplin, jak informuje prasa francuska, ma nowe plany filmowe i



przygotował już scenariusze do dwóch filmów. Bohaterka pierwszego ma być fantastyczna postać kobiety-ptaka, która żyła-

by wśród ludzi. Według wyrażenia Chaplina ma być to „film poetycki”, pełen fantastyki.

Filmem drugim będzie historia człowieka skazanego na śmierć, który dostaje się z więzienia i rozpoczyna nowe życie. W filmie tym główną rolę grać będzie Chaplin Sidney, syn Charlie Chaplina z jego drugiego małżeństwa z Lilią Grey, z którą ożenił się w roku 1924, a rozwodził w 1927 (ożenił się następnie z Paulette Goddard).

NAGRODA AKADEMII FRANCUSKIEJ W DZIEDZINIE POWIEŚCI

Prix du Roman Akademii Francuskiej otrzymał ostatnio Jean d'Ormesson za powieść pt. „La Gloire de l'Empire” (Chwała cesarstwa). 46-letni Jean d'Ormesson urodził się w Paryżu w rodzinie dyplomaty. Od blisko dwudziestu lat jest redaktorem przeglądu filozoficznego „Diogenes” wydanego w czterech językach przez UNESCO.

Nagrodzona książka jest czwartą powieścią d'Ormessona. Poprzednio opublikował: „L'Amour est un plaisir” (Miłość jest przyjemnością), „Un Amour pour rien” (Miłość za nic) i „Les Illusions de la mer” (Iluzje morza).

„Chwała cesarstwa” jest specyficznym rodzajem fantastyki historycznej. Autor wykorzystał doskonale znajomość historii starożytnej budując w swej powieści fantastyczne dzieje nieistniejącego nigdy i nigdzie imperium. Pięciestronicowa powieść jest podobno niezwykle ambitna o głębokim podkładzie filozoficznym.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- T. WOJCIECHOWSKA — Więcej kto ma być krytykiem muzycznym?
- K. BADZIAK — Klub sportowy, czy towarzystwo wzajemnej adoracji.
- K. TUROWSKI — „Była to miłość na śmierć” oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

NIEDZIELI NIEDZIELI

SMOLEŃSZCZYNA

HISTORYCZNE ZWIĄZKI — ŁÓDŹ I SMOLEŃSK DZISIAJ — PIĘĆ LAT WSPÓŁPRACY — SYNOWIE ZIEMI SMOLEŃSKIEJ — SPOTKANIA ZE SZTUKĄ PRZYJACIÓŁ — KONCERTY I WYSTAWY — UMOCNIANIE PRZYJAŹNI.

Jeśli z okazji niedawnego pobytu w Łodzi delegacji Ziemi Smoleńskiej chcę wspomnieć o kontaktach z tym obwodem Kraju Rad — nie mogę się przecież opędyć przypomnieniem historycznym. To przecież już u progu XV wieku pułki smoleńskie brały udział w rozgromieniu Krzyżaków pod Grunwaldem. Tak więc pięć lat kontaktów między Towarzystwami Przyjaźni ze Smoleńska i Łodzi podbudowane jest ogromną tradycją związków historycznych, choć — oczywiście — bywały w tych związkach okresy różne.

Różnie jest zresztą sporo. Łódź nie została zniszczona przez wojnę — Smoleńsk został zdruzgotany całkowicie. Zamierzam historia Łodzi liczyć się od wieku piętnastego

— historia Smoleńska jest o sześć wieków starsza i rozpoczyna ją warowny gród Krywiczów, a potem stolica księstwa jeszcze w czasach, gdy Ziemię Łódzką pokrywały nie zamieszkałe puszcze.

Ale smoleńską i łódzką dzisiaj jest bardzo podobne. Króluje więc przemysł włókienniczy i odzieżowy, wyższe uczelnie, przemysł spożywczy i nawet górniczo. Tyko, że na Ziemi Łódzkiej reprezentuje je łącznica ruda, a na Smoleńszczyźnie węgiel brunatny.

O smoleńskiej wojennej drodze, znaczonej słupami aż po kraniec horyzontu, tak przejmująco opowiada Bułat Okudźawa w jednej ze swych piosenek. Abyśmy jednak w naszej wiedzy o Smoleńszczyźnie wyszli dalej — poza popularną piosenkę Okudźa-

wy — dba Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

Sekretarz Zarządu Wojewódzkiego TPP-R, Władysław Surzelecki, prezentuje fakty z owej pięciolatniej działalności. A więc pół tysiąca odczytów na temat historycznej przeszłości tej ziemi, jej dorobku w półwieczu władzy radzieckiej. Nie każdy też wie, że twórcą opery rosyjskiej, Michał Glinka, urodził się w Nowospasskoje na Smoleńszczyźnie, że symon tej ziemi był pierwszy zdobywca kosmosu, Jurij Gagarin...

Tysiące polskich słuchaczy brało też udział w dziesiątkach spotkań z poezją i muzyką Smolan, organizowanych przez TPP-R nie tylko w Łodzi, Piotrkowie, Tomaszowie, ale także w Domu Kultury Radzieckiej w Warszawie. Dalej — konkursy historyczno-literackie, wystawy obrazujące dorobek władzy radzieckiej na Ziemi Smoleńskiej, masowe imprezy popularyzatorskie i propagandowe.

Dzięki tym akcjom i imprezom w świadomości mieszkańców Ziemi Łódzkiej pozostały wiersze i kompozycje smoleńskich poetów i muzyków. A poetów wydała ta ziemia nie mało — nazwisko Aleksandra Twardowskie-

go, twórcy „Wasyla Tiorikina” znane jest szeroko. Dodajmy jeszcze nazwiska Isakowskiego, Rylenkova, Kozyra, Poliakowa. Muzyczne tradycje Smoleńszczyzny kontynuują Kąbaszow, Pisarenko, Truszkina, Iwanow czy Niuchtina.

Aby to wzajemne poznanie dorobku obu przyjaciół było pełniejsze, Zarząd Wojewódzki TPP-R skierował na Ziemię Smoleńską kilka zespołów solistów Teatru Wielkiego w Łodzi, którzy zaprezentowali 27 koncertów poezji i muzyki. Z drugiej zaś strony łódzcy muzycy i soliści prezentują w programie ogólnopolskim Polskiego Radia koncerty pieśni kompozytorów Ziemi Smoleńskiej.

Smoleńska prasa publikuje materiały na temat naszego miasta i regionu — o życiu teatralnym Łodzi, o środowisku literackim, o działaniu Towarzystwa Przyjaźni na Ziemi Łódzkiej.

Z tej pięcioletniej współpracy TPP-R w Łodzi z Towarzystwem Przyjaźni Radziecko-Polskiej w Smoleńsku wynikają wnioski do dalszego działania. Tak więc w najbliższym czasie poczyni się starania, aby pieśni kompozytorów i poetów Smoleńszczyzny

weszły do repertuaru Ogólnopolskiego Konkursu Piosenki Radzieckiej. Z inspiracji TPP-R Wydawnictwo Łódzkie wyda w roku 1972 powieść pisarza ze Smoleńska, Mikołaja Moskwinia pt. „Partyzanci śladami”. Rozszerzy się — stosowaną i obecnie — praktykę przekazywania materiałów o Ziemi Łódzkiej. Nadal utrzymywana będzie — w szerszym zakresie — praktyka wymiany korespondencji między szkołami i zakładami pracy oraz wymiana delegacji szkolnych, robotniczych, a także wiejskich.

Tak więc robi się bardzo wiele, aby łodzianin i mieszkaniec województwa kształtował swoją wiedzę i sentyment do przyjaciół nad Dnieprem nie tylko na podstawie strzępów historii i chwytających za serce piosenki wojennej Okudźawy. Działania TPP-R — wszechstronne i różnorodne — zmierzają do przekazania społeczeństwu maksimum ciekawej wiedzy i informacji o sąsiadach zza wschodniej granicy. Pięć lat współpracy Ziemi Łódzkiej ze Smoleńszczyzną, to pięć lat efektywnego działania, kontaktów służących umacnianiu przyjaźni i bliższemu wzajemnemu poznaniu.

JERZY WIDOK

Bez strachu

DOM

Miałem kiedyś dom. Dom pełen domowników, którzy żegnali mnie z mniejszą lub większą radością czy gniewem, witali z mniejszą czy większą radością czy gniewem. Brali ode mnie pieniądze, dawali mi pieniądze, posilali się razem ze mną, sypiali obok mnie i kiedy w nocy budziłem się z łękiem, kół mi mniemany rytm ich oddechów. Domownicy ukrywali moje małe tajemnice, wynosili moje małe tajemnice, ich wielką lojalność musiała być potwierdzona przez małe niełojalności. Piastowali mnie, kiedy byłem niezdrowy i podlegałem mojej opiece. Zyl przy mnie, dookoła mnie, we mnie nawet, w sytuacjach nierozłącznych. Myślałem, że ich życie przetrwa moje istnienie. Mijały lata, domownicy umierali kolejno, stawałem przed otwartym grobem każdego ze zmarłych. Zostałem sam w mieszkaniu, które raczej nie było już domem, lecz rozpiętą w ciemnych izbach pustką. Obiady jadłem teraz na mieście, potem także śniadania i kolacje. Powoli przyzwyczaiłem się na mieście pisać, pisałem i czytałem pokątnie tu czy ówdzie. W domu sypiałem snami pełnymi wielce symbolicznymi, przesączonych sitem europejskiej kultury postaci. Zmęczyły mnie wreszcie moje klasyczne sny. Pamiętam pełen trudnego światła wieczór, kiedy pierwszy raz usnąłem w cudzym mieszkaniu, na cudzym tapczanie. Czyjaś dobra ręka przykryła mnie kocem i usnąłem snem bez snów. Obudziłem się bardzo wcześnie. Obce meble, sufity, ściany, zdawały się być tuż przed moimi oczami. Wszystkie wnikały we mnie wypukłe, w dziwacznie wklęsłego. Myłem się pod cudzym kranem, ktoś mnie żegnał z mniejszą czy większą radością, czy gniewem. Od tego czasu nocowałem pokątnie tu czy ówdzie. Miałem wiele niby domów, rozsiąanych po mieście. Czasami wracałem do starego mieszkania i stawałem zdumiony wśród zniszczonych mebli, wypatroszonej pościeli, pierwszych pajęczyn. Ktoś chciał mi odebrać stare mieszkanie, ale nie zezwolono mu, gdyż jako człowiek piszący książki, jestem pod specjalną opieką i mam olbrzymi margines na leżne dziwactwa. Kiedyś, gdy jadłem kolację w barze mlecznym, przysiadł się ktoś do mnie i zapytał: „Panie, czy pan ma mieszkanie? Niech pan mnie weźmie na mieszkanie, rozumiem pan, tam, gdzie ja mieszkam, to śmierć, ja mam rany w żołądku”. Wyszedł z mną z baru i uporeczywie, z rozpaczą prosił, bym wziął go na mieszkanie. Umknąłem przed nim do jednego z ekskluzywnych klubów, gdzie zatrzymano go przy wejściu. Usiadłem w fotelu i pokątnie rozmyślałem o różnych ludziach, których spotykałem w życiu.

BERNARD SZTAJNERT



Łóżko generała

Dokończenie
z poprzedniego numeru

— Chce pan ze mną rozmawiać?
— Tak — odpowiedziałem.
— O czym?
— O Kesslerze.
— Czy to ten, który został zabity?

— Tak. Widzę, że go pan zna.
— Pracował ze mną w innym lokalu.
— Kiedy pan się widział ostatnio z Kesslerem?

— Już od kilku miesięcy go nie widziałem. Dlaczego się pan pyta?

Wyjąłem z kieszeni pudełko zapalek. — Zostało znalezione

wczoraj w jego mieszkaniu, na ziemi obok trupa.

Twarz mu drgnęła, lecz zaraz pojawił się uśmiech, zbyt słodki, jak na mój gust. — Wy-

dajemy rocznie około pięćdziesięciu tysięcy takich pudełek, więc nie dziwnego, że któreś znalazło się u Kesslera. A teraz przepraszam, muszę wyjść.

Zbliżał się już do drzwi wyjściowych, gdy go zapytałem: — Czy pan zna Emmet Sigsbee?

Odwrocił się i rzekł: — Nigdy o niej nie słyszałem. — To

powiedziałem wyszedł a wraz z nim jakiś dragal o końskiej twarzy.

Usiadłem przy stoliku. — Co pan sobie życzy? — zapytał kelner.

— Budweiser, jeśli można. Nalał mi pełen kieliszek. Wi-

działem, że miał ochotę na rozmowę. Wyjąłem portfel i pokazałem dziesięć dolarów. — Słyszał pan naszą rozmowę, co

pan mi może powiedzieć o Kesslerze?

— Tylko to, co mówił Belmonti.

— A może coś o pannie Lili Duveen?

— No cóż, to jest wielka artystka, ma powodzenie, szef stracił dla niej głowę.

— Czy pan wie, skąd przyszła?

— Przed czterema miesiącami pracowała w jakimś lokalu na plaży... Ktoś mi mówił, że jest

miętazką, ale nie znam nazwiska jej męża...

Następnego dnia, około 11 udałem się do domu, w którym

mieszkała pani Sigsbee. Na trawniku bawiła się mała

dziewczynka. Uśmiechnąłem się

do niej. — Czy nie wiesz, gdzie

mieszka pani Sigsbee?

— Nie, to naprawdę komieźne! — zawołała. — Nikt dotąd

nie przychodził do tej staruszki, a dziś już tyle osób się

pytało.

— Zaprowadź mnie do niej?

Zgodziła się. Wszedłszy do domu pokazała mi drzwi na

pierwszym piętrze. — Tu mieszka.

— Czy te schody jej nie męczą?

— Ona nigdy nie schodzi na dół, leży zawsze w swoim wiel-

kim łóżku. Po jej śmierci to łóżko

ostanie mama, tak nam obiecała.

Pierwsza rzecz, którą zobaczyłem w pokoju staruszki, było

olbrzymie łóżko, w którym leżała szczupła, delikatna

figurka. Ponad wężłowiec wisiał portret generała Roberta

Lee w szarym uniformie.

— On tutaj spał w tym łóżku, wie pan? — objaśniła z

dumą.

— Naprawdę? — zapytałem z

najwyższym szacunkiem.

— Tak. To było podczas oblężenia

Fredericksburga. General Lee

spędził dwie noce w naszym domu. A ja się urodziłem

w tym łóżku osiemdziesiąt lat temu.

— Trudno uwierzyć, że pani

ma tyle lat.

— Pochlebca! Zależy się, że i

pan jest z południowych stanów

Ameryki.

— Mam tylko nazwisko południowca. Proszę, oto mój bilet

wizytowy.

Ożywiła się. — O, pierwszy

— Gdzie jest teraz pani Bron-

son?

— Nie wiem, nigdy jej nie

widziałam. Bronson mówił, że

jest tancerką w Las Vegas.

— Czy pani ma krewnych?

— Tylko siostrzenicę, nazywa

się Vivian Lindsay. Ostatni raz

ją widziałam, gdy była jeszcze

dzieckiem.

Staruszka zmoczyła się, więc

ją poźegnałem...

W niedzielę lubię długo spać,

obudziłem się o 10. Nastawi-

łem radio i usłyszałem znajome

nazwisko: „córka ofice-

ra wojsk konfederackich w

amerykańskiej wojnie secesyj-

nej pani Emmet Sigsbee wypa-

dała z okna swego mieszkania

i zabiła się. Prawdopodobnie

w nocy chciała zamknąć okno”.

Słuchałem przerażony... Wszyscy, których ostatnio

odwiedzałem umierali w tajemni-

czy sposób! Za godzinę byłem

znów przed domem, w którym

mieszkała Sigsbee. Spotkałem

tę samą dziewczynkę. — Pani

Sigsbee umarła — oznajmiła

ze smutkiem.

— Wiem o tym, kochanie,

mówił w radio. Czy mogę za-

rzec do pokoju zmarłej?

— Niech pan idzie, nikogo

tam nie ma.

Tym razem wszedłem bez pu-

zynową i obserwowałem jak

oba mężczyźni wynosili z fur-

gonu bagaż. Tak — to były

części łóżka pani Sigsbee!

Skladał je w magazynie na

drugim piętrze. Gdy skończyli

robotę i odjechali, wyszedłem

z auta i wsunąłem się do ma-

gazynu. Pełno tam było pak

i beczek. Na środku sali leża-

ły części łóżka generała. Przy-

pomniłem sobie, słowa staru-

szki o „reperacji” spodu

mebla. Znalazłem tam skrzyn-

kę zrobioną z innego drewna,

niż reszta łóża. Przy pomocy

miotła i dłuta wybiłem w

skrzynce dość szeroki otwór.

Zacząłem gorączkowo grzebać

w tym dziwnym schowku. Naj-

pierw wyciągnąłem stare gazy-

ty. Potem ręka moja dotknę-

ła czegoś więcej ścisłego: był

to potężny rulon owinięty w

nieprzemakalny papier. Już za-

cząłem go odwijać, gdy nagle

u sufitu zajaśniało światło i

za moimi plecami zabrzmiał

głos: — Wstawaj powoli!... Rę-

ce do góry!

Posłuchałem rozkazu i wsta-

jąc spojrziałem na siebie: Pete

Belmonti stał na schodach

trzymając w ręku rewolwer.

Obok niego rudowłosa kobieta.

— Oszukałeś mnie — rzekł

Belmonti — zostaniesz ukara-

ny. — Zbliżył się do mnie

i przycisnął rewolwer do moich

pleców. Zbadał kieszenie, nie

znalazł broni.

— A teraz wosuj się na-

przód!

— Dobrze. — Zrobiłem kilka

krótków i nagle odwróciłem się

gwałtownie stosując chwyt ju-

do, który zablokował Belmont-

iego. Mógł teraz strzelać tylko

do skrzyni ze sardynkami. Sta-

liśmy twarzą w twarz. Podnio-

słem kolano aby go uderzyć,

gdy nagle rozległy się dwa

strzały. Belmonti krzyknął,

upuścił rewolwer i upadł na

podłogę. Podniosłem rewolwer

i skryłem się do niszy w ścia-

nie.

— Strzeliłś do mnie, ty... —

jęknął zduszonym głosem.

— Przywróć mi, Pete, chciałem

ci pomóc — rzekła obojętnie.

— Ta kobieta kłamie — wtrą-

cilem. — Jak okłamywała swego

męża Bronsona. Chciała

mieć dla siebie te 200.000 dola-

arów.

— Ty... ty, ohydo... — zahar-

czał. Reszta wynazła wiecz-

ność.

— A może byś wyszedł z u-

krycia, zachwyciłaś człowieka!

Porozmawiamy o tym wszyst-

kim.

— Chcesz rozmawiać na moim

trupie, co? — Podniosłem

rewolwer i strzeliłem w punkt na

ścianie o kilka centymetrów

ponad jej lewą ręką. Przerażo-

na Lili zaczęła strzelać na śle-

po. Gdy przestała wiedziałem,

że została jej tylko jedna po-

cisk. Strzeliłem jeszcze raz, na-

stąpiła zaraz odpowiedź, której

oczekiwałem. Mogłem teraz

wyść z cienia i zbliżyć się do

kobiet. Wycelowała w mój

żoładek, nacisnęła spust, lecz

nie

rozległ się tylko głuchy trzask,

jeden i drugi.

— Sześć pocisków Lili, więcej

już nie będzie z tego kalibru

— roześmiałem się.

Zadrżała. Potem opanowała

się i z udaną czułością zarzu-

ciła mi ręce na szyję. — Nie

chciałam cię zabić, Neal, po-

dobasz mi się od pierwszego wej-

ścia. Zrobię wszystko dla

ciebie.

— Dobrze. A może byśmy to

wszystko spisali?

— Co spisać? — zapytała zdzi-

wiona.

— No, te szczegóły dotyczące

innych dwóch morderstw, które

re zorganizowałaś, aby za-

gnać łup Bronsona.



Rys. Assen Grose

w łóżu zbyt wielkim dla jej

szcuplego ciała.

— Neal, błagam cię, nie za-

bijaj mnie! To wszystko wy-

myślił Belmonti!

— Nie kłam! — Zbliżyłem się

do niej, cofnęła się instynktow-

nie.

— A więc ja opowiem wszy-

stko. Walter Bronson miał

wyjąć niedługo z więzienia.

Napisał do swej żony, iż

schował łup w łóżku pani

Sigsbee. Powiedziała o tym

Belmontiemu, w takich spra-

wach potrzebny jest wspólnik.

Lecz należało odszukać panią

Sigsbee. I oto ja wszedłem na

scenę.

Na ulicy rozległo się wycie

syreny policyjnej. Moje pra-

cownicy stacji benzynowej usły-

szeli strzały w magazynie.

— Nie rękę, co bym uczynił,

gdyby nie przyszła policja...

— Dlaczego nie? Czyż nie to

samo robiłaś z tą kochaną sta-

ruszką?

Upadła na ziemię i zaczęła

szlochać. — Powiem już wszyst-

ko, tak, zrzuciłam ją z okna.

Nie chcę umrzeć, nie chcę!

Spojrzałem na policjanta, któ-

ry ukazał się na schodach

i zrozumiałem, że usłyszał sło-

wa Lili...

Nie rękę, co bym uczynił,

gdyby nie przyszła policja...

— Dlaczego nie? Czyż nie to

samo robiłaś z tą kochaną sta-

ruszką?



Lewym
okiem

DODATEK FILMOWY

Pojęcie pary wciąż jeszcze kojarzy nam się z ogłu-
szającym hukiem, z obracającymi się ogromnymi
kolami, z potężnym piecem i z ludźmi obok niego,
ludźmi o nagich plecach spływających potem, z łop-
atami, młotami i żelaznymi hakami w rękach,
z wielkimi okularami ochronnymi na oczach. Stere-
otyp ten wydaje się zawierać w sobie jakąś egzotykę,
anachroniczny romantyzm ludzi zmagających się z
potężną Materią. Nie ma chyba ani jednego krótko-
metrażowego filmu polskiego, zajmującego się tema-
tyką przemysłową, produkcyjną — bez tego stereoty-
powego hutnika, tańczącego w białym żarze płynnej
stali, bez dwóch — trzech półnagich ludzi krzyczą-
cych do siebie wśród ogłuszającego łoskotu rozpędzo-
nych walców, kół, kółek i młotów.

Ostatnio obrazki takie przeplatane są obrazkami

z tak zwanych narad produkcyjnych. Trudno w mi-

gawkowych scenach pokazać widzowi kinowemu, o co
chodzi tym łysym, brzuchatym, zafrasowanym panom,
zaciągającym się zachłannie papierosami (to fotoge-
niczny gest!). Każdy z nich zabiera głos i nie mówi,
lecz przemawia na użytek operatora, przy czym —
właśnie ze względu na nieuniknioną migawkowość
użyć — przemawia samymi hasłami. To już nawet
nie hasła, to frazesy i slogany, śmieszne, nadęte i nie-
prawdziwe. Wielogodzinnej narady film inaczej po-
kazać nie może, a pokazując tak — czyni z niej
z miejsca karykaturę i budzi w widzach odruch nie-
chęci do wszystkich tych nierobów, zwłastąca poka-
zanych pomiędzy piekielnym wytopem su